MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 46. WARSZAWA, 16 LISTOPADA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

UWAGI NAD POWSTANIEM LISTOPADOWEM

I

ZBLIŻA się setna rocznica powstania listopadowego [1]). Jest to zdarzenie, które przez kilkadziesiąt lat niewoli rozpamiętywano z dumą, czczono z miłością, wielbiono bez zastrzeżeń i otoczono taką legendą, że nikt go się nie odważył rozpatrzeć krytycznie. Miejsca zwycięzkich potyczek stały się tytułami chwały, a barwny ułan bohaterem poezji, powieści, malarstwa, zawsze z tą bezfrasobliwą tężyzną, bujnością i fantazją, która wspomnieniu tej klęski użyczała jakiejś osobliwej pogody. Rocznica tego zdarzenia, mimo smutnego końca, była prawie rocznicą radosną. „Pół rycerzy żywych“ poszło za granicę, wypełniać pustkę dnia ruchliwością, zamaszystością, rozgłosem, który w późniejszych pokoleniach bardzo się podobał i zasłaniał oczy na klęskę i jej skutki. W ten sposób naród pożegnał się ze swojem wojskiem.

Bo wojsko polskie z powstania listopadowego było dalszym ciągiem drużyn piastowskich, rycerstwa jagiellońskiego, wojska kwarcianego, wojska Sejmu czteroletniego, armji insurrekcyjnej Kościuszki i legjonów Dąbrowskiego; była to ta sama armja, która za Chrobrego i Krzywoustego biła cesarzów niemieckich, pod Płowcami i Grunwaldem Krzyżaków, pod Kirchholmem Szwedów, pod Kłuszynem Moskwę, pod Chocimem i Wiedniem Turków, pod Beresteczkiem Kozaków — ta sama armja, co pod Racławicami, Hohenlinden, Somossierrą itd. Z końcem powstania, skończyła się ta nieprzerwana, prawie tysiąc lat trwająca ciągłość armji narodowej, pułki rozwiązano, sztandary zabrano do Moskwy...

I rzecz dziwna: naród pożegnał ją ze łzami, ale i z jakąś beztroskliwą otuchą, jak gdyby mówił: do widzenia. Barwny ułan żył dalej w powieści, w poezji, w piosence nieuczonej.

Tyle uczucia, fantazji, postaci, kształtów, barw, skrzydlatych słów otoczyło tę przeszłość, że wśród tego życia nie stało miejsca na wyrzut, a nawet na beznamiętne rozpatrzenie całej sprawy.

A jednak trzeba się temu wypadkowi przypatrzeć krytycznie, ocenić go i z drugiej strony, bo może przez takie roztrząsanie otworzą się oczy na teraźniejszość i przyszłość, a przez to przygotują się warunki, w których ewentualne przedsięwzięcia wojenne nie będą skazane na klęskę, chociażby tę klęskę miały potem opromieniać wszystkie blaski poezji i sztuk plastycznych.

Trzeba więc sobie zadać naprzód pytanie: Czy powstanie listopadowe było potrzebne ze względu na interes narodowy?

Królestwo Kongresowe było jednym z bardzo nielicznych tworów państwowych, w ówczesnej Europie, który posiadał konstytucję, to jest te swobody obywatelskie, o których zdobycie wybuchało tyle rewolucyj od roku 1822 do 1848. Prawie wszystkie narody europejskie przelewały, i to niejednokrotnie krew, traciły najszlachetniejsze jednostki przez szubienice i więzienia, ażeby uzyskać to, co Kongresówka posiadała we wcale szerokim rozmiarze. Jeżeli zatem chodziło o samorząd, o wolność obywatelską, nie trzeba było właściwie pracy dla ich zdobycia, trzeba było wysiłku, aby je utrzymać. I tu już jest pierwsza odpowiedź negatywna: powstanie nie było potrzebne dla zdobycia swobód obywatelskich.

Prawda, że utrzymanie samodzielności Kongresówki było bardzo utrudniane przez rząd petersburski. Jest to rzecz zrozumiała. Prawie cała Europa, z nielicznemi wyjątkami, dyszała pod de-

[1]) Każda epoka, jeśli jest żywotna, musi mieć swój własny pogląd na okres poprzedni, z którego się wyłoniła. Jest to tak naturalne, że przystępując do dzieła, zadajemy sobie pytanie: co też wnukowie o niem powiedzą, jak je osądzą. Odpowiedzialność przed pokoleniami przyszłemi nie jest czczem słowem. Dobrze to świadczy o samodzielności duchowej naszego pokolenia, że czuje potrzebę poddania rewizji poglądów na wiek XIX, tych, z któremi się zrosło społeczeństwo w czasie niewoli. Rozprawa niniejsza jest jedną z prób nowego spojrzenia na powstanie listopadowe. Nie krępujemy autora, dobrego znawcy naszej przeszłości, w słowach, które mu refleksja historyczna nasuwa, nadając przez to rzeczy charakter dyskusyjny. — Red.

spotyzmem, zainaugurowanym przez Kongres wiedeński i jego Święte Przymierze monarchów legitymistycznych. Nieliczne kraje, cieszące się wolnością konstytucyjną, były solą w oku despotów. A już Rosja, wychowywana przez wieki w niewoli i dla niewoli, nie mogła bez zawiści patrzeć na wolność skrawka Polski, przyłączonej do niej federacyjnie prawie. Cesarz i jego rząd, obok wrodzonej nienawiści do wszelkiego liberalizmu, do katolicyzmu Polski itd. musieli czuć obawę, że to życie pod jednym dachem wolnej Polski z niewolniczą Rosją może pociągnąć światlejsze umysły rosyjskie i zarazić je liberalizmem. Stąd zrozumiała dążność władz petersburskich do zniesienia wolności w Polsce, a skoro to, wobec zobowiązań międzynarodowych, było niemożliwe tymczasem, skłonność do szykanowania Konstytucji. Szykany burzą krew i działają na nerwy. To również po ludzku zrozumiałe.

Ale polityki nie prowadzi się nerwami. W danych warunkach Europy, a zwłaszcza Rosji, byłoby czemś dziwnem, gdyby szykan nie było. A warto pamiętać, że Mikołaj, który swoją godność pomazańca boskiego pojmował oryginalnie, ale bardzo wysoko, miał w duszy to poszanowanie samego siebie, które mu kazało dotrzymywać przyjętych zobowiązań. Jakoż przed rokiem przyjechał do Warszawy, ażeby się koronować na króla polskiego i zaprzysiądz konstytucję. Chyba największy wróg Moskali nie odważy się twierdzić, że Mikołaj przysięgał na Konstytucję z tem postanowieniem, iż tę przysięgę złamie. Na to był poprostu zbyt dumny. Jego ministrowie dopuszczali się szykan. Ale my wiemy, co to są „wątpliwości konstytucyjne" i musimy bezstronnie przyznać, że interpretacje ustaw i ich ducha z przed lat stu, w porównaniu z dzisiejszemi są tak blade i niewinne, że wyglądają raczej jako pedantyczna skrupulatność, aniżeli jako złośliwość.

Po przysiędze Mikołaja należało oczekiwać wielu lat spokoju i normalnego życia w ramach Konstytucji. Można było ten czas wyzyskać dla podniesienia oświaty i uświadomienia w kraju, dla rozwoju zamożności, a jeżeli nie chciano myśleć o sprawach innych zaborów, to dla przygotowań, ażeby ziemie litewsko-ruskie, które uważano za integralną część Polski, albo przyłączyć do Kongresówki, albo przynajmniej poprzeć skutecznie w zabiegach o autonomję. Dla odpowiedzialnych polityków otwierało się wdzięczne pole do owocnej, na długą metę zakrojonej pracy, pracy twórczej, przygotowującej pełną niepodległość w razie korzystnej zmiany stosunków.

Na nieszczęście nikt o tem nie myślał. Co gorzej! Gdy się rozpatruje początek powstania, dochodzi się do podejrzenia, że tam wogóle nikt rzeczowo nie myślał, że to był odruch nieświadomy rozigranych nerwów, a nie czyn polityczny.

Napad na Belweder, przepędzenie w. ks. Konstantego zaskoczyło wszystkich: ministrów, parlament, jeneralicję. Niewiele stosunkowo osób było zaangażowanych w zamachu stanu, to też kierownicy państwa mogli odseparować się od wybuchu, jeżeli go uznali za zbyteczny lub niewczesny, a oddanie kilkunastu ludzi pod sąd, aby uratować naród od nieszczęścia, nie było taką ofiarą, którejby nie można przeboleć.

Jeżeli jednak rząd, sejm i jeneralicja solidaryzowały się z wojowniczym nastrojem sprawców zamachu, powinny były dać mu jakąś myśl, jakiś cel, jakiś program.

Mogło być takich celów kilka o wielkiem znaczeniu politycznem, dla którego warto było ryzykować, stawiając wszystko na jedną kartę. Historja zbyt mało podkreśla jeden znamienny fakt, mianowicie, że w ciągu naszej niewoli zabór rosyjski nie liczył się wcale z potrzebami innych zaborów i dokonywał czynów politycznych tak, jakgdyby sam był całą Polską. Nawet w Polsce odrodzonej to nieliczenie się z innemi dzielnicami i uważanie siebie za całą Polskę, można jeszcze nieraz obserwować.

A przecież Polska nie mieściła się w ówczesnym zaborze rosyjskim. Był zabór austrjacki, nękany, dręczony i uciskany od sześćdziesięciu prawie lat. Ponieważ w Austrji nadano Konstytucję w 1867 roku, my, dzisiejsi ludzie, zapominamy o tem, co się działo w Galicji przed tą datą przez lat zgórą 90. A to było straszne. Jeżeli wrzenia umysłów w Warszawie niepodobna było opanować, można było skierować tę nienawiść chociażby przeciw Austrji, dla wyzwolenia rodaków z prawdziwie egipskiej niewoli i to byłby program istotnie narodowy.

Wszelako najrozumniejszą myślą, najbardziej dalekowzrocznym programem byłoby podówczas skierowanie narodu polskiego przeciwko Prusom. Odzyskanie własnego brzegu morskiego dla Kongresówki i przyłączenie Poznania (o polskości Śląska nie wiedziano wtedy niestety) byłoby tak nieobliczalnym w następstwie zyskiem, że warto było hazardować. A sprawa nie była tak trudna, jak się wydawało. Jeszcze ziemie polskie zaboru pruskiego nie zostały włączone do Rzeszy niemieckiej, tylko stanowiły jakgdyby zagraniczne posiadłości Prus. Zazdrość innych państw niemieckich względem Prus byłaby je zostawiła własnym siłom, a zmobilizowana armja polska mogła się z niemi mierzyć. Godzi się przypuszczać, że nawet despotyczni monarchowie byliby wtedy przynajmniej po cichu sprzyjali Polakom, nie mówiąc o ludach. I Prusacy, którzy mądrze o sobie myśląc, przypisują wrogom także rozumne plany, prawie od Kongresu wiedeńskiego brali w rachubę możliwość wojny z Kongresówką, a ich ministrowie myśleli o przygotowaniu się na tę ewentualność. Kongresówka, powiększona o Poznań i Gdańsk, o ile i nie Królewiec, mogła sobie w stosunku do Rosji zapewnić takie stanowisko, że jej wolności konstytucyjne byłyby więcej szanowane w Petersburgu.

Strachajło polityczny gotów zawołać: „A cóżby na to powiedział cesarz Mikołaj, jako król polski i naczelny wódz wojska polskiego?"

Z pewnością nie byłby tego rodzaju programem politycznym więcej obrażony niż powstaniem, które w prawnem rozumieniu było tylko buntem przeciw swojemu monarsze.

Wszystko razem biorąc, powstanie doszło do skutku bez żadnej myśli politycznej. I bez żadnego programu. Inicjatorzy i kierownicy powstania byliby się znaleźli w największym kłopocie, gdyby im się było udało wygrać. Co robić z Kongresówką, odciętą od morza i świata, która liczyła wtenczas 3 miljony ludności, otwarta jak stół i otoczona zewsząd przez przemożnych wrogów? A przecież każde ludzkie przedsięwzięcie powinno mieć jakiś program do wykonania w razie, jeśli się uda.

I ta bezprogramowość oraz bezcelowość odbiera powstaniu wszelkie cechy czynu politycznego, a sprowadza je do rzędu krewkich, nieświadomych, nieodpowiedzialnych i nieprzemyślanych odruchów. Jest świadectwem niedojrzałości politycznej ówczesnego pokolenia.

II

Chodziłoby teraz o rozważenie drugiego pytania: Czy istotnie namiętności były tak rozkołysane, że nie można było wybuchu powstania całego kraju powstrzymać? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba rozważyć: kto się burzył i z jakich przyczyn.

Naturalnie, że podstawową przyczyną był ból patrjotyczny z powodu rozbiorów. Jednakże ten ból towarzyszył polskim żołnierzom podczas całej epopei napoleońskiej i rozbiory trwały dalej od kongresu wiedeńskiego, czyli jeszcze przez pełnych 15 lat. Dlaczego powstanie wybuchło nie zaraz po powrocie wojska do kraju, albo też nazajutrz po śmierci cesarza Aleksandra? Przecież ani belwederczycy, ani przyłączający się do nich ministrowie, sejm, jeneralicja, nie marzyli o tem, że odbudują dawną Rzeczpospolitą „od morza do morza". Jeżeliby nawet powstanie było się powiodło i Kongresówka została wolnem państwem, części dawnej Polski byłyby pozostały pod panowaniem trzech zaborców i ta główna przyczyna nie byłaby przestała istnieć. Była więc konkretna przyczyna w r. 1830, która spowodowała cząstkowy wybuch w Warszawie.

Ogólne wrzenie w Europie nie jest tą przyczyną. Austrjackie, węgierskie, niemieckie i t. d. spiski współczesne są zrozumiałe, bo tam chodziło o wywalczenie swobód obywatelskich: tego ustroju konstytucyjnego, jaki Kongresówka już posiadała w dość szerokich rozmiarach. Spiski włoskie, zmierzające do wyzwolenia się z pod krajowych i zagranicznych despotów, celem zjednoczenia Italji, znalazły w powstaniu listopadowem zaprzeczenie, ponieważ ono właśnie nie pamiętało o zaborze pruskim czy austrjackim, ani nawet w dostatecznej mierze o ziemiach litewsko-ruskich, pod tym samym zaborem zostających. Popularne hasło: „za naszą i waszą wolność", też nie miało treści, ponieważ kierownictwo powstania tkwiło w Warszawie razem z armją, nie zamierzając chyba iść na wschód i po uwolnieniu ziem litewsko-ruskich próbować pochodu na Petersburg, celem obalenia caratu i wywalczenia wolności także i dla Rosji.

Burzyła się część młodzieży i młodzi oficerowie, bo ci za przykładem zagranicy byli powiązani w tajne związki. Gdybyż te tajne związki były przynajmniej działały na tych ziemiach polskich, które nie korzystały, jak Kongresówka, z wolności konstytucyjnych... Byłyby zrozumiałe, naturalne, w duchu czasu i w realizmie położenia: despotyzm powinien mieć odpowiednik w spisku, to wypływa z natury rzeczy.

Ale właśnie te tajne związki szerzyły się w konstytucyjnej Kongresówce. Ustrój zaś konstytucyjny bywa zazwyczaj lekarstwem na spiski, bo niezadowolenie, nurtujące w podziemiach, może tam wybuchnąć publicznie w prasie i w parlamencie. Tajne związki, byłyby objawem naturalnym na ziemiach litewsko-ruskich oraz w zaborach pruskim i austrjackim, ale w Kongresówce były niedorzecznością. A właśnie tam się pleniły, gdzie była dość duża wolność, nie było ich prawie tam, gdzie panowała niewola.

I to samo świadczy, że spiski i tajne związki nie wypłynęły z potrzeby, lecz z wpływów albo obcych lub z pospolitego naśladownictwa. Pobudką zaś najistotniejszą było bodaj warcholstwo. Oficerowie niżsi oraz uczniowie szkół wojskowych odsądzili w swoich duszach oficerów wyższych od patrjotyzmu, a sobie samym wystawili w duszach świadectwo ultrapatrjotyzmu; część młodzieży uznała, że wybrani przez naród posłowie nie zasługują na zaufanie, bo tylko oni, sprawcy zamachu, mają serca prawdziwie polskie i ponad głowami własnych przełożonych, własnych przedstawicieli, postanowili wziąć inicjatywę w swoje ręce i skierowali politykę inaczej, niż ją kierowali dotychczasowi przedstawiciele narodu.

I gdybyż ten nastrój był naprawdę mocny! Ale przecież tak myślących studentów i niższych oficerów było niewielu, a z pomiędzy nich tylko jednostki należały do spisków. Wszystkich nie wtajemniczano. Liczba więc była niewielka. Zapału prawdziwego niewiele. Powtarzano frazesy z rewolucji francuskiej, których nawet nie przystosowano do polskiej rzeczywistości, zapalano się niemi, upajano i popadano w najzacieklejsze doktrynerstwo. Dowodem tego są poezje, pisane podczas powstania i dla powstania. To co z poezji powstańczej ma wartość, choćby żołnierskie piosenki Pola, powstało już po powstaniu, pod wpływem żalu i wspomnienia. Ale podczas powstania pisano raczej ramoty, szukając frazesów z rewolucji francuskiej, które miały zastąpić i udać tak zapał jak wiarę. Pisali zaś nietylko rymopisowie, ale ludzie utalentowani i nie wleli w robotę żadnego ognia, bo go w sobie nie mieli. A przecież przed siedmiu latami, nie bój narodowy, nie walka o wolność, tylko zwykła bujność młodzieńcza i radość życia wydały w Kownie ten prześliczny kwiat zapału, który się nazywa „Odą do młodości". Podczas powstania pisał nie byle kto, bo sam Słowacki. I ten mistrz formy, a później poeta niebotycznych natchnień, nie zdołał wykrzesać z siebie jednej iskierki zapału i wiary, bo ich w tej awanturze nie było. Przez naśladownictwo robiono tajne spiski, przez naśladownictwo wywołano rewolucję, przez naśladownictwo pisano wiersze bojowe, ale „Marsyljanki" nie stworzono, bo nie było ognia, wiary, bodaj silnej nienawiści.

Że ognia nie było, świadczy późniejsza uchwała sejmu o detronizacji dynastji Romanowych. Po co ją powzięto, co ją wywołało? Jedynym sposobem pozbycia się Romanowych z tronu Kongresówki było wygranie wojny. Na to się nie zanosiło. Powzięto zatem uchwałę demonstracyjną, na pokaz, z całą samowiedzą, że pozostanie uchwałą na papierze. Dla „ludów Europy wielki gest", czyli pozowanie przed lustrem z obliczaniem efektu pozy. Dla kraju miał to być krok wyzwalający wszystkie ukryte energje do walki bez odwrotu, bo tą uchwałą niby to zamykano odwrót, zrywano mosty i wykopywano przepaść nie do przebycia. Ale tem samem przyznawano, że nie wszystkie siły narodu popchnięto do walki, że nie zdołano wywołać zapału i powszechnego postanowienia: zwyciężyć lub zginąć. Trzeba było przez puste uchwały zastrzykiwać ten zapał. Myślano również, znowu tylko przez naśladownictwo, o zastosowaniu terroru, a niektórym doktrynerom śniła się nawet gilotyna jako sposób podniecania ognia patrjotycznego przez rozlew krwi. Skutek zaś był ten, że jenerałowie, zaskoczeni nieprzewidzianą trudnością, korzystali z bliskości granicy pruskiej lub austrjackiej, przechodzili kordon, składali broń i osłabiali siłę bojową powstania: nie godzi się kłamać entuzjazmu.

Nie było wiary w powodzenie, a więc w celowość powstania. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że zaraz po wybuchu zaczęto nalegać na Chłopickiego, o którym wiedziano, że nie wierzy w możliwość wybicia się na wolność, aby przyjął

dyktaturę. Po co? Przecież nie był odpowiedni na to, żeby wywalczył niepodległość, bo wiedziano, że w tę możliwość nie wierzy. A więc chyba po to, żeby przez swoją powagę i wpływy nadał awanturze najmniej bolesne zakończenie.

Czasami nienawiść bez upamiętania prowadzi do wybuchu. Deklamowano później o żywiołowej nienawiści do w. ks. Konstantego. Nienawiść topi się we krwi. Tymczasem miano tego półwarjata w rękach i puszczono go cało. Nienawiść byłaby się nie zdobyła na podobne zapanowanie nad sobą. Ale tej ślepej nienawiści nie było. A gdy się zestawi fakt, że prawie ci sami ludzie zamordowali nazajutrz kilku polskich jenerałów, to wytłumaczenie wypuszczenia z rąk wielkiego księcia ukaże podłoże psychiczne wcale nie pochlebne. Członek dynastji najeźdczej był dla służalców zbyt wysoką figurą, aby się ośmielili do podniesienia ręki na niego i do upuszczenia cesarskiej krwi. Bo frazes, dorobiony później, o szlachetności Polaków, którzy kobietom oszczędzają widoku krwi, byłby może na miejscu w jakimś sentymentalnym romansie panny de Scudéry, ale nie wyjaśnia niczego w chwili, kiedy miały działać rozpętane namiętności.

Nie było więc głębokiej wiary w możliwość zdobycia niepodległości ani w celowość powstania, nie było namiętnej nienawiści, nie było też, bo być nie mogło prawdziwego zapału. Było upajanie się frazesem rewolucji i naśladowanie Francuzów. W lipcu zrobiono w Paryżu awanturę, skutkiem której wyleciał nietylko nielubiany minister, ale i sam król, to też i w Warszawie trzeba było koniecznie zrobić coś podobnego, mimo zupełnie odmiennych warunków.

Dlaczego tylu rozsądnych ludzi uległo sugestji garstki spiskowców! Dla braku stałych przekonań i odwagi cywilnej. Jest to niestety jedna z głównych wad polskich, z której nawet nie próbujemy się leczyć. Wielu pamięta początek r. 1914 przed wielką wojną w Galicji. Garść ludzi, przeważnie takich, których nikt nie widział przy pracy narodowej, oświatowej, społecznej czy jakiejkolwiek pracy publicznej, oparłszy się o bojówki strzeleckie, rekrutowane w zbyt wielkim procencie z jednostek o przestępczej przeszłości, ogłosiła się tajnym rządem narodowym pod firmą Tymczasowej Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych i nakłamawszy, że Austrja „podejmuje ideę jagiellońską“ zawyrokowała, iż kto w to nie wierzy, jest moskalem (przez małe m) dla Polaków, a zdrajcą stanu dla Austrji. I widzieliśmy ludzi, którzy przed dziewięciu laty nazywali polskiego orła białą gęsią, jak odsądzali od polskości ludzi, krórzy zdrowie, majątek i karjerę stracili w pracy narodowej na różnych polach. A taka była zapalczywość, właźliwość, krzykliwość, nahalność tej garstki, że zahukała wielu rozsądnych i uczciwych Polaków. Zamknęła też wielom usta, bo według polskiego wygodnictwa pragnęli tylko spokoju. I robiono sztuczny zapał: głosiciele białej gęsi znaleźli w sobie patrjotyzm pierwszej klasy i namiętne przywiązanie do białego orła, szydercy, drwiący z barw czarno-żółtych i innych złotych kołnierzy znaleźli w sobie nieprzebrany patrjotyzm austrjacki, nawet z dodatkiem uwielbienia dla Prus.

Kto pamięta owo zakłamywanie się w Galicji przed wybuchem wojny, zrozumie łatwo zapał rewolucyjny i całą jego nieodpowiedzialność oraz sztuczność robionego na zimno w chwili wybuchu powstania. A ponieważ dla skuteczności propagandy potrzebne jest opieranie się o obcy autorytet, rewolucjoniści listopadowi mieli poza sobą masonerję zagraniczną, przedewszystkiem francuską, a politycy strzeleccy policję austrjacką, tudzież oddział szpiegowski sztabu austrjackiego z pułk. Redlem, a potem Augustem Ostrymiecz-Urbańskim na czele.

Nie było więc ani wiary, ani entuzjazmu, ani namiętności — była tylko poza i naśladownictwo. Do dzisiaj nie wyleczyliśmy się z tych wad, tylko wzory obraliśmy gorsze. Naśladujemy ochranę, trochę Wilhelma a trochę Lenina i pozujemy. A kłamiemy aż wstyd. Kiedy nędza toczy obywateli, samowola panoszy się jak w domu obłąkanych, a zagranica przestaje nas brać w rachubę, krzyczymy, że tak się utrwala mocarstwowe stanowisko państwa. Kiedy kradzieże grosza publicznego stają się normalnem zjawiskiem, a przestępcy wołają o bezkarność dla siebie i brak kontroli nad szafowaniem pieniędzmi publicznemi, powiadamy, że to jest szkoła, w której wychowuje się typ doskonalszy obywatela. Poza od maciejówki na głowie wodza do reprezentacyjnego auta na piaszczystych drogach i bezdrożach—nieszczerość, udawanie, kabotyństwo. Przed stoma laty było mniej podle, ale równie nieszczerze.

(C. d. n.)

Pińsk JAN ZAMORSKI

STOSUNKI POLSKI Z WŁOCHAMI W CIĄGU WIEKOW

(Dokończenie)

NA TEM miejscu możemy tylko najogólniej streścić dzieje mickiewiczowskiego legjonu. Jak wiadomo, Mickiewicz miał do pokonania tysiączne trudności i nakoniec otrzymał w Medjolanie 3 czerwca 1848 od Tymczasowego Rządu lombardzkiego pozwolenie na zorganizowanie legionu polskiego. Dowództwo wojskowe objął nad legjonem, po jego powiększeniu i wyekwipowaniu w Medjolanie, pułkownik Kamieński, który poprowadził go przeciwko Austrjakom w bitwie pod Desenzano nad jeziorem Garda (6 VI. 1848), gdzie sam został ciężko ranny. „Związaliśmy się z Włochami—pisał uczestnik tej bitwy Dziekoński—jednem z tych przymierzy, których śladu i zobowiązań nie są zdolne zniweczyć żadne przeciwieństwa“.

Akcja polska na gruncie włoskim nie była, niestety, jednolitą. Hotel Lambert, jak wspomnieliśmy, trzymał się innej taktyki, która miała na celu stworzenie nowego oddziału we Włoszech w uzależnieniu od siebie, pod kierownictwem czysto wojskowem. Rozbieżność działania między hotelem Lambert a Mickiewiczem miała podkład częściowo w poglądach politycznych (hotel Lambert był legitymistyczny, zaś Mickiewicz republikańsko

usposobiony), częścią zaś w poglądach na środki działania. Ks. Czartoryski i hr. Zamoyski szukali dojścia do celu drogą dyplomatyczną u dworów i rządów i, ceniąc patrjotyzm Mickiewicza, nie mieli zaufania do jego zmysłu organizacyjnego, przejętego towianizmem, podczas gdy oni zamyślali uskutecznić swoją organizację na podstawach prawdziwie wojskowych, nie zaś filozoficznych i utopijnych, za jakie mieli przedsięwzięcie Mickiewicza. Widząc jednak, że akcja Mickiewicza odniosła częściowy sukces u rządu lombardzkiego, tem więcej starali się ze swej strony, bądź w porozumieniu z Mickiewiczem, bądź bez niego, stworzyć we Włoszech własną formację wojskową, któraby mogła pochłonąć Legjon Mickiewicza i objąć nad nim komendę. Na dowódcę przeznaczali niemiłego Mickiewiczowi pułkownika Breańskiego i sądzili, że da się to uskutecznić z chwilą, kiedy dotychczasowy dowódca legjonu Kamiński, ranny pod Desenzano, został unieruchomiony na dłuższy czas.

Hr. Zamoyski skoncentrował swe zabiegi u rządu piemonckiego. Zabiegi te skończyły się wprowadzeniem do wojska piemonckiego kilku oficerów polskich oraz generała Chrzanowskiego, który w najkrytyczniejszej dla armji piemonckiej chwili otrzymał nad nią dowództwo, bez wiary w jakiekolwiek powodzenie, a następnie pobity przez Radetzkiego pod Nowarą, nie przyczynił się do pomnożenia prestiżu polskiego we Włoszech, jakkolwiek powszechnie uznaje się trudne nad wyraz warunki, wśród jakich objął dowództwo. Charakteru zimnego, osobiście bezinteresowny ale sceptyk, nie był dowódcą w stylu n.p. Bema.

Legjon, nie chcąc poddać się komendzie Zamoyskiego, względnie wysuwanego przez niego Breańskiego, wyruszył do Toskanji i tam połączył się we Florencji z innym oddziałem, tworzonym z ramienia Mickiewicza przez Michała Chodźkę z różnych żywiołów emigranckich, które w ciągu 1848 r. nadciągnęły z Francji przez Marsylję i Geunę do Florencji, między innemi także z Fijałkowskim i Witkowskim na czele. Po wielu przejściach i cierpieniach, nie doszedłszy do porozumienia z rządem toskańskim a po wybuchu rewolucji w Toskanji, nie chcąc dać się użyć rządowi rewolucyjnemu do walki wewnętrznej, wyruszyła ta nowa formacja już w odmiennym składzie ku Rzymowi, gdzie równocześnie wzięła górę rewolucja, przed którą Pius IX był zmuszony uchodzić. Początkowo w drodze do Rzymu dowodził tym przekształconym legjonem kapitan Maurycy Hauke (syn generała napoleońskiego) a potem, po jego ustąpieniu, Fijałkowski.

Po wejściu do Rzymu i formalnem uznaniu legjonu przez Tryumwirat rzymski 29 maja 1849 r. objął nad nim dowództwo pułkownik Milbitz. W walkach, stoczonych w maju z wojskami francuskiemi, które zdobywały miasto dla papieża, stał legjon w przedniej straży koło willi Pamfili, następnie przy Porta del Popolo. Równocześnie w wojsku francuskiem, po stronie antyrewolucji było także kilku Polaków, przeciwko którym walczył legjon broniący Rzymu. Polacy ci, przed atakami, odwiedzali legjonistów.

15 czerwca 1849 r. odznaczyli się szczególnie legjoniści w potyczce przy Ponte Molle pod Taczanowskim. Zginął tu wówczas między innymi kapitan sztabu Padulak. Po zajęciu Rzymu, legjoniści wyjechali do Grecji pod dowództwem Milbitza, częścią zaś rozprószyli się.

Równocześnie wielu Polaków brało udział w ruchu rewolucyjnym na Sycylji z Ludwikiem Mierosławskim na czele, a Dembowski Teodor, Misiewicz Konstanty i inni zginęli w 1849 r. w obronie Wenecji w wojsku generała Baldoniego.

Ile poświęcenia, ofiarności w tych wysiłkach pisanych krwią, ile zaparcia się nadludzkiego... Groby żołnierzy, legjonistów i ofiarników polskich, rozsiane po całych Włoszech, poszły dziś w zapomnienie. Wszyscy oni walczyli o wolność Włoch i Polski i ginęli z myślą o dalekiej ojczyźnie.

Braterstwo broni i ideałów między Polakami i Włochami, zadzierzgnięte przez Dąbrowskiego, kontynuowane przez legjon Mickiewicza i Polaków w armji piemonckiej, trwało dalej. Z wybuchem wojny 1859, Polacy znów licznie pośpieszyli do włoskich szeregów. Widzimy w wojsku włoskiem z powrotem Milbitza, a dalej Wysockiego, Langiewicza, Bosaka-Haukego i innych. Po szczęśliwem zakończeniu kampanji 1860 r., Milbitz, Poniński i inni wstąpili do wojska włoskiego. Langiewicz osiadł w Turynie i przy poparciu Garibaldiego utworzył polską szkołę wojskową w Cuneo, do której ściągnęła młodzież przeważnie z Ukrainy i Kijowa (Wł. Jabłonowski, Walery Mroczkowski, Gustaw Wasilewski, Stefan Bobrowski, Włodzimierz Milewicz i t.d.). W r. 1862 rząd włoski, pod naciskiem Petersburga, wzamian za uznanie przez rząd rosyjski zjednoczonej Italji, zamknął szkołę w Cuneo, której wychowankowie przenieśli się do Paryża i tam pracowali pod kierunkiem generała Wysockiego w oczekiwaniu powstania, w którem wielu z nich poległo.

We wszystkich walkach o niepodległość i zjednoczenie Italji Polacy stawali mężnie i krew swą przelewali. Nigdzie imię Polski i Polaka nie budziło tyle sympatji i przyjaźni jak we Włoszech. W r. 1863 przyjaźń tę pośpieszył przypieczętować krwią własną oddział Włochów pod bohaterskim pułkownikiem Franciszkiem Nullo, który wraz z Eljaszem Marchettim zginął w bitwie pod Krzykawką przeciw przeważającym siłom rosyjskim.

W okresie powstania nie przestają bronić sprawy polskiej i informować Watykanu O.O. Zmartwychwstańcy. Agentem organizacyj narodowych był natomiast Wł. Kulczycki, zamieszkały nad Tybrem od 1850 roku.

W latach 1870—90 tłumaczem spraw polskich wobec Watykanu był ks. Czacki, późniejszy kardynał, po nim zaś kardynał Ledóchowski. Współcześnie mieszkała w Rzymie z Branickich ks. Baltazarowa Odescalchi, króra jakkolwiek weszła do rodziny włoskiej, poczuwała się do obowiązku współdziałać i pomagać tym, którzy dla Polski w Rzymie pracowali. Tradycje obu pomienionych dygnitarzy kościelnych kontynuował do wojny ks. prałat Kazimierz Skirmunt, a pośród O. O. Zmartwychwstańców O.O. P. Smolikowski i K. Czorba.

Na polu myśli i propagandy świeckiej pośród Włochów pracę Mickiewicza podjął Teofil Lenartowicz, zamieszkały we Florencji, który przez pewien czas wykładał literaturę polską na uniwersytecie w Bolonji, gdzie dzięki przyjacielowi Polski profesorowi Sentagata, powstała w r. 1879 Akademja im. A. Mickiewicza. Na gruncie bolońskim pracowała też skutecznie M. Olszewska a potem jej syn.

Jakkolwiek niniejszy zarys poświęcony jest Polakom we Włoszech, to nie podobna tu nie wymienić Włocha z pochodzenia, ale Polaka z ducha, zmarłego niedawno Attilio Begeya, towiańczyka

obrońcy i prawdziwego apostoła sprawy polskiej, zamieszkałego w Turynie.

Florencja była w latach 1880—1900 tym ośrodkiem, gdzie po Rzymie najchętniej osiadali Polacy. Tu jeszcze w okresie poprzednim pracował i umarł malarz Boratyński, potem zaś Teofil Lenartowicz a po nim, z wybitniejszych, ks. Dembiński, tłumacz Ariosta. Pod Pizą w Bagni di San Giuliano mieszkała stale Eliza z Rulikowskich Bośniacka (Juljan z Paradowa), autorka popularnej sztuki „Obrona Częstochowy“ i licznych dramatów historycznych. Jej mąż, Zygmunt Bośniacki, geolog, pozostawił interesujące zbiory paleontologiczne i geologiczne.

Nie tu miejsce zastanawiać się, czem Rzym, Florencja i Włochy wogóle były dla wszystkich naszych poetów i pisarzy od Mickiewicza, Krasińskiego, Norwida, do Sienkiewicza, Konopnickiej, Kasprowicza, Żeromskiego, którzy pielgrzymowali do „słonecznego chramu wiecznego piękna“ — i wracali stąd z nieśmiertelnym stygmatem natchnienia i poezji. Podobnie nasi artyści, z pośród których wymienimy najwybitniejszych, zamieszkałych w Rzymie w latach 1870 — 1914, jak z rzeźbiarzy Brodzki, Sosnowski, Weloński, Rygier i Madeyski a z malarzy: Stankiewicz, Siemiradzki, Gierymscy, Bakałowicz, Okuń i t. d.

Naukę polską zaś w latach 1885—1914 przedstawiała t. zw. Ekspedycja rzymska Akademji Umiejętności t. j. delegacja starszych i młodszych uczonych, której kierownikami byli kolejno prof. St. Smolka, W Zakrzewski, Wł. Abraham, a członkami: ks. Fijałek, Kallenbach, Kutrzeba, St. Kętrzyński, St. Zakrzewski, Boratyński, Ptaśnik, Loret, Nanke, Rutkowski, Długopolski, Dąbrowski i inni.

Pod koniec stulecia wymierają we Włoszech epigonowie pokolenia, któremu wiedzę o Polsce i jej prawach do niepodległego bytu głosił Mickiewicz, a uświadamiali żołnierze Polscy na polach bitew włoskich. Jeszcze generacja, która wyszła z uniwersytetu bolońskiego t. j. ta młodzież włoska, która wraz z prof. Santagata zawiązywała Akademję Mickiewicza, zachowała nietylko sympatje, ale zrozumienie, jak ważnym i niezbędnym czynnikiem dla Włoch i dla Europy byłoby odbudowanie Polski. W następnych generacjach, wychowanych już w uwielbieniu dla kultury i potęgi niemieckiej i pod wpływem oczerniającej wszystko, co polskie, propagandy niemieckiej, uczucia dla Polski we Włoszech wprawdzie nie słabną, ale sprawa polska uważana jest tu za przepadłą. Jedynie jeszcze wielkie nazwisko autora „Quo Vadis“ stanowi punkt świetlny, który, jak wszędzie, tak i w Italji budzi podziw, zainteresowanie i przypomina imię wielkiego narodu.

Tymczasem zbliżały się wielkie wypadki. Przeczucie i świadomość, że one idą i że w nich się rozstrzygnie los Polski, były u nas, można powiedzieć, powszechne. Stąd odczucie potrzeby wznowienia placówek propagandy polskiej zagranicą, które powstają z inicjatywy Rady Narodowej we Lwowie. Zorganizowana w r. 1911 Polska Agencja Prasowa w Rzymie, podjęła tamte tradycje przypominania Włochom istnienia Polski, obrony jej imienia i jej praw do niezawisłego bytu. Z grona osób, skupionych koło Agencji, wyszła inicjatywa do zawiązania koła polsko-włoskiego w Rzymie, którego pierwszym prezesem był profesor uniwersytetu rzymskiego, Angelo de Gubernatis. Działalność Agencji, rozpoczęta na parę lat przed wojną, przygotowała grunt i przyczyniła się do zrozumienia sprawy polskiej w czasie wojny jako jednego z czynników równowagi i pokoju w Europie. Na gruncie Agencji urzeczywistniono cały szereg publikacyj oraz kroków politycznych w kołach parlamentarnych i rządowych włoskich, z których najważniejszemi były: wniosek posła Montresora i towarzyszy w parlamencie o odbudowaniu Polski w r. 1916, deklaracja rządu włoskiego, złożona w Izbie przez ministra spraw zagr. Sonnina w czerwcu 1917 roku o odbudowaniu Polski niepodległej i zjednoczonej, a wreszcie organizacja z ramienia Komitetu Narodowego polskich formacyj wojskowych z jeńców polskich we Włoszech. Ta ostatnia akcja, prowadzona zrazu przez posła Jana Zamorskiego i niżej podpisanego, w następstwie zaś razem z przedstawicielem Komitetu narodowego w Rzymie, Konstantym Skirmuntem i ś. p. majorem Leonem Radziwiłłem jako komendantem i organizatorem wojskowym formacji, dała Polsce odrodzonej przeszło 30.000 żołnierza na chwilę decydującą.

I znowuż stało się, że do Rzymu przyszedł błękitny żołnierz polski z pobojowisk włoskich i francuskich i tu we Włoszech, w obozach koncentracyjnych tworzył kadry przyszłej armji polskiej, której zaraz wypadło staczać dalsze dwuletnie walki na froncie bolszewickim, by dać świadectwo światu, że Polski, odrodzonej z bólu i krwi pięciu pokoleń i z sądu Bożego nad jej ciemiężcami, Polak umie bronić własną krwią, jak przed wiekami, jak zawsze.

Rzym MACIEJ LORET

O FELICJANIE

Syn minie pismo, lecz ty spomnisz wnuka (Norwid)

BYLE za słońca wiekuistą Chwałą,
która ci może nawet skrzydła spali,
podążyć jaknajdalej,
nie żal, jak Ikar, w niebo wzbić się śmiało,
choćby się potem i utonąć miało,
wśród zapomnienia fali. („Meandry“).

W sześciowierszu tem zawarte są dzieje twórczości poetyckiej Felicjana (Faleńskiego), jakgdyby w nawiedzeniu jakiemś wypisane przed r. 1876, zanim obdarzył piśmiennictwo polskie szeregiem nieprzeciętnej wartości utworów. Czemu zapomnieliśmy o Felicjanie? Może i on zawinił, że mało zajmując się powszedniem życiem, nizał z mieniących się tęczą drogich kamieni kolję, którą do słońca przybliżyć trzeba, aby zagrała barwą swych przebogatych promieni. Prześladował go los, bo wielu mniejszych talentem i kulturą poetów znalazło poczcześniejszy pomnik na kartach literatury w naszej pamięci.

Nie tu miejce dowodzić, jakie znaczenie ma dla nas praca poetycka Felicjana, — jakie stanowisko wyznaczyć mu wśród polskich poetów; pragnę tylko przypomnieć oblicze twórcze wielkiego artysty, choć latami oddalone, a jakże bliskie tym

wszystkim, którym nieobojętne są najszlachetniejsze wytwory ludzkiej myśli.

*

Wiara, patrjotyzm, oraz umiłowanie piękna splotły się kunsztownym wieńcem w twórczości Felicjana[1]). Pierwiastki te kwitły, podsycane i harmonizowane niezmierną kulturą artystyczną. Szeroka skala zainteresowań literackich poprowadziła Felicjana poprzez wszystkie niemal szlaki myśli ludzkiej; wielka wrażliwość estety dozwoliła mu z jednakową łatwością wcielać się w psychikę biegunowo różnych indywidualności twórczych. W znakomitych przekładach Felicjana spotykamy się poraz pierwszy w literaturze naszej z całością „Pieśniozbioru" Petrarki (1881), gdzie nie tylko talent liryczny śpiewaka Laury, ale i misterne kształty sonetów, kancon, sestyn i ballad wyrzeźbione zostały w pięknej polszczyźnie. Tłumaczenia te poprzedza głęboka rozprawa Felicjana o Petrarce. Przekłady z poetów obcych (I z r. 1878, II z r. 1892) zawierają w dwóch tomach szereg fragmentów z najznakomitszych utworów literatury powszechnej: Hezjod, Horacy, Wergiljusz, Juvenalis, Jacopone da Todi, Dante, Filicaja (oda na cześć Jana Sobieskiego, zbawcy Wiednia), Shakespeare, Hugo, Musset, Schiller,—oto galerja Felicjana. Oddzielnie ukazały się inne przekłady: Ariosta „Orland Oszalały" (dokonane oktawami oryginału, ale w znacznem skróceniu, z winy redakcji Bibljoteki Dzieł Wyborowych); przekłady z ksiąg Starego Zakonu, oraz drobniejsze, rozrzucone po pismach, nie mówiąc już o szeregu przekładów prozą i tych, co pozostały w rękopisie.

W transpozycjach poetyckich Felicjana, obok głębokiego wyczucia ducha oryginału, uderza piękność i bogactwo języka, wykwint formy. Nie jest to — powszednia swada poetycka, owo wyśmiane przez Langego „lanie rymów gładko niby z cebra"; szeroka i wspaniała rozpiętość stylu Felicjana — to triumf rozmiłowanych studjów nad całokształtem rozwoju polskiego języka, poczynając od złotego wieku, a kończąc na współczesnym poecie. Każde słowo jest odważone, każdy zwrot ma właściwe zastosowanie, każdy wyraz harmonizuje z całością. Język przekładu Petrarki jest giętki i pełen liryzmu, Danta — staje się energiczny i obrazowy, Ariosta przybiera jakąś butę i zamaszystość rycerską, Jacoponego Todi przyobleka się w nadziemską ascezę, Ksiąg Starego Zakonu tchnie prostotą i podniosłością.

Wdzięcznem, choć niełatwem zadaniem będzie dla przyszłego krytyka wykazać wpływ obcych pisarzy na powstawanie jego utworów oryginalnych. Pierwiastki te, jakkolwiek liczne, zlały się wokół harmonijnej konsystencji Felicjana w szlachetny stop, który został odtąd jego właściwem znamieniem. Przez jakiś czas w pierwszej połowie twórczości pozostawał pod wpływem Heinego i to pod niektóremi względami jedynie. Zaczerpnął Felicjan od Heinego formę humorystyczną. Cyniczne szyderstwo Heinego przeobraziło się u Felicjana w humor o wysokiem napięciu etycznem. Filozofja niemieckiego poety została w całości odrzucona. Owa nuta Heinowska daje się wyczuć już w pierwszym zbiorku poezji Felicjana „Kwiaty i kolce" (1854), lecz nie jest jedyną cechą tych wierszy; obok niej występuje jakiś smętek, rzewna zaduma, spowijająca głębsze myśli i choć struna ta uczuciowa dźwięczy nieśmiało, jednakże nie daje się zagłuszyć przez dowcipne nieraz refleksje.

Po powstaniu 1863 roku humorystyczny ton przygasa na pewien czas u poety. Świadczy o tem następny zbiorek p. t. „Z ponad mogił". Szereg wierszy poważnych o podkładzie alegoryczno-historycznym lub religijnym, świadczy, iż autor pragnie mówić niejednokrotnie o tem, czego mu otwarcie wypowiedzieć nie wolno. W poematach „Termopile" i „Pod Kannami" stara się poeta przeprowadzić historyczną analogję w związku z sytuacją polityczną własnego narodu; przyćmiona symbolika sprawia, iż zbiorek ten nie staje się zrozumiałym jednakowo dla wszystkich, nie można go więc uważać na wzór „Chorału" Ujejskiego za wyraz zbiorowego bólu. Patrjotą Felicjan był gorącym, nie potrafił jednakże odtworzyć bólu narodowego, nurtującego wszystkich; na zbyt wysokich stanął koturnach, aby przez wszystkich być zrozumiałym. Zresztą i konsystencja twórcza jego ulegała nadal jeszcze przemianom.

*

Miejsce romantyzmu zajął pozytywizm. Poeci rozumni szałem usiłowali teraz oszaleć rozumem. Wszelkie te zmiany na widowni prądów umysłowych i poetyckich nie znalazły echa u Felicjana. Zapatrzony ponad głowami współczesności w szczyty minionych kultur nie dozwolił pochłonąć się życiu otoczenia. Nie wciągnął go w swe nurty romantyzm, nie wprzągł do swego rydwanu pozytywizm; powołało go do służby to, co w sztuce jest wieczne.

Podróże po kraju przysporzyły nowy tomik z nowemi tematami, w których znalazła odzwierciedlenie przyroda tatrzańska. W r. 1871 wychodzi zbiorek „Odgłosy z gór". W utworach tych poeta „uchodzi w siebie" i wielbi dłoń Stwórcy w arcydziełach natury. Niezmiernie piękne i kunsztowne pod względem budowy i rytmu jest „Zakończenie", gdzie przez odpowiednie powtarzanie tych samych wierszy uchwycił autor poszept jesieni i nieodłączną jej monotonną tęsknotę. W pięć lat później wychodzi książeczka „Świstki Sylena", gdzie humor, dowcip, tłumione w czasie żałoby narodowej, znajdują ujście w kaskadzie niezwykłych pomysłów. Jeżeli poprzednim trzem zbiorkom można byłoby zarzucić, iż nie wszystkie zawarte w nich utwory na jednym stoją poziomie, to przeciwnie w „Świstkach Sylena" znać, iż talent Felicjana krzepnie, a zarówno pomysły, jak sposób ujęcia ich są doskonałe. „Świstki Sylena" są to alegoryczne opowiadania, zaczerpnięte z podań i mitologij Egiptu, Grecji, Rzymu, Cejlonu, Oceanji i t. d. Autor, parafrazując podania i mity starożytne, nieznacznie przeprowadza paralelę ze współczesnością

[1]) Felicjan Medard Faleński urodził się 1825 r. w Warszawie, gdzie ukończył szkołę i kursa prawne. Początki twórczości jego przypadają na 1844-7 rok. W 1854 r. wydaje pierwszy drukowany tomik. Ożeniwszy się z Marją Trembicką (nieszczęśliwą miłością Norwida), mieszka w Warszawie, mało udzielając się i przyjmując u siebie zaledwie ścisłe grono znajomych. Jest jednym z współzałożycieli szkoły handlowej imienia Wawelberga i Rotwanda. W końcu dziewiętnastego wieku usuwa się zupełnie od życia towarzyskiego, umiera w 1910 r., budząc ogólne zdumienie, że... jeszcze żył.

Z prac o Faleńskim najobszerniejsze: Włodzimierza Zazuli w „Przewodniku Naukowym" 1908 r. i monografja Wiktora Przecławskiego. Warszawa 1923. Najlepsza, aczkolwiek nikła pod względem objętości: Z. Zaleskiego w książce „Dzieło i Twórca". Warszawa 1914.

i tym sposobem tworzy pewien rodzaj niewinnej i wytwornej satyry. Przemawia do współczesności, ale obrazami antycznego świata. Dostało się tu krytykowi, wykpiony został pozytywizm, wyśmiana rosyjska administracja, uwydatniony wreszcie stek codziennych ułomności charakteru ludzkiego. Wesołość opowiadań potęguje poważna forma, pisane są bowiem „Świstki“ strofami ballad romantycznych, co podnosi komizm przez kontrast swój z treścią.

Następny zbiorek „Pieśni spóźnione“ (1893) zawiera w pierwszej części dopełnienia do „Z ponad mogił“ i „Świstków Sylena“, a w drugiej wybrane wiersze nowego cyklu utworów pod nazwą „Harmonje jesieni“, gdzie artyzm dojrzałego umysłu zakwitała niedoścignioną prostotą. W uzupełnieniach poprzednich poezyj natrafiamy na alegoryczny wiersz „Koń Swantewita“. Obecne pokolenie ma obowiązek dokładniej może utwór ten rozumieć, niż współcześni. „Harmonje jesieni“ to owoc dojrzały skończonego sharmonizowania artystyczno-twórczego Felicjana w jesieni lat jego. Po licznych wędrówkach i poszukiwaniach, po fluktuacjach wewnętrznych, rozum i uczucie osiągają u poety tak doskonałą koordynację i równowagę, jaką spotykamy bodaj w Helladzie tylko.

Nowy cykl zawiera wiersze liryczne o podkładzie religijnym uczuciowym, z niektórych wyłania się alegorja, lecz jakaż zmiana uderza w symbolistyce i konstrukcji. Jeżeli w zbiorku „Z ponad mogił“ Felicjan zaciemniał alegorję dla wiadomych powodów, jeżeli w „Świstkach Sylena“ wygina alegorję w girlandy rokokowe, jak gdyby pragnąc bawić się w chowanego z czytelnikiem, to w „Harmonjach jesieni“ panuje prostota obrazów i myśli, wiodąca ku najwyższym szczytom sztuki. Wpleciona dyskretnie struna religijna przydaje zbiorkowi temu dziwnej podniosłości, a wiersz „*Memento mori*“ mówi, iż poeta nie zmarnowawszy życia, pracując według sił swoich, nie odczuje trwogi, gdy zostanie powołany „przed oblicze Pana“. Bezmyślność krytyki, z jaką odnosiła się do głębokiej myślowo i artystycznie twórczości Felicjana, każe wypisać mu na początku książki pełne cichej rezygnacji „*Voto finiendum volumen sit*“.

Nie ziściło się jednak życzenie poety na pierwszej umieszczone karcie. Jeszcze siedemnaście lat życia miał zapisane w księdze Przeznaczenia. Wydaje potem „Meandry“, krótkie aforyzmy, ujęte w cyzelerską formę, które rozchodzą się w ilości dziesięciu egzemplarzy. Zbiorek ten jest jedynym w swoim rodzaju w dziewiętnastym wieku, istny kalejdoskop życia społeczeństwa, wad i przywar jego, a wreszcie jedyny klucz do zapoznania się z głębokiemi poglądami poety na powszednie bolączki ludzkiego środowiska. I dziś nawet nie odpowiednia jeszcze jest chwila dla ponownego wydania „Meandrów“; wiele osób dopatrzyłoby się w nich wycieczek osobistych, a co gorsza autor dowcipnych aforyzmów mógłby dostać nakaz karno-administracyjny.

Szereg nowel, a z pośród nich rozgłośna w pięćdziesiątych latach „Zdaleka i zbliska“, na której Sienkiewicz wzorował się w swych „Szkicach węglem“, oraz dziewięć dramatów, stanowiących ocean wzorowej polszczyzny, zamykają twórczość poetycką Felicjana [2]). Niewydane dzieła spoczywają w bibljotece wilanowskiej i dojrzewają niby wino stare, czekając chwili gdy

„wnukowie
pić będą niemi dusz swoich zdrowie“.
(„Meandry“).

*

Jakże z zachwytami znawców poezji (Gomulicki, Dębicki, Nawrocki) pogodzić obojętne zapomnienie, które oprzędło niby w nić pajęczą imię Felicjana? Pełne wielkiego uznania opinje tak wybitnych znawców kultury i sztuki pozostały niestety bez echa, utonęły w niepamięci. Wrażliwe i myślące umysły wyczuły w Felicjanie rasowego artystę, który ukochał sztukę nie dla poklasku tłumów, lecz dla etycznego i estetycznego zadowolenia duszy człowieczej, aby wznosząc ku wyżynom sztuki umysły i serca, uszlachetniać charaktery.

Jałowy to zarzut, iż Felicjan jest „parnasistą“ czy reprezentantem hasła „sztuka dla sztuki“, gdyż przez całą twórczość jego przewija się niby srebrna nić umiłowanie kraju i pragnienie, aby Polacy nie dali się wyprzedzić innym plemionom pomni na świetne tradycje własnego narodu.

Złudzenie tego paradoksu o „sztuce dla sztuki“ w zastosowaniu do Felicjana ma dwa źródła: po pierwsze, iż nie chciał „zniżać lotu“, popularyzując sztukę i po drugie iż, jak przystało na wielkiego artystę, nie dbał o reklamę i nie nadskakiwał, w poszukiwaniu faworów, ogółowi czytelników, innemi słowy mówiąc — za niegodne poety uważał wymieniać sztukę na brzęczącą monetę.

Opacznie również zrozumiał Chmielowski znaczenie tytułu wierszyka „Sobie śpiewam a nie komu“ (Kwiaty i kolce). Nie jest to owe Horacjuszowskie „*Odi profanum vulgus*“, nic tu Felicjan „hardo nie zaznacza“, lecz nie widząc znikąd dla swej pieśni zachęty, nie słysząc znikąd słowa „pójdź sercę-ć otworzę“, wróży z rezygnacją:

„zamrzeć ci niebogo,
bo nie brzmieć pieśni, co brzmi dla nikogo“.

Odkładając książkę Faleńskiego, wnikliwie przeczytaną, mimowoli czujemy dyskretnie wygrany akord na wznioślejszych strunach duszy ludzkiej. Nie czyni tego Felicjan spontanicznie, lecz w sposób szlachetny i dystyngowany, przestrzegając jakgdyby pewnej etykiety w krainie sztuki — oraz poszanowania cudzego „ja“. Mimo jednakże subtelność swą nie staje się nigdzie „karmelkowym“ (jak pewien współczesny mu poeta), w każdym natomiast utworze jego dźwięczy jakaś godność rycerska, niby szum skrzydeł polskich hussarzy.

W każdym utworze przebija człowiek o charakterze bez skazy oraz mistrz poetyckiego kunsztu takiej miary, iż napróżno szukać w pismach jego artystycznej usterki; owszem napawa czytelnika niepewnością, czy podziwiając przebogaty język i koncepcje twórczą, zdoła podążyć krok w krok za myślą poety.

Wieluń JAN RÓŻYCKI

---

[2]) Niepodobna pominąć prac krytycznych Felicjana. W r. 1861 drukuje w „Bibljotece Warszawskiej“ studjum o Edgarze Poe, gdzie pierwszy zwraca uwagę na zalety oryginalności pism amerykańskiego pisarza. Następnie pióro utalentowanego artysty kreśli studjum o Sępie-Szarzyńskim, oraz o „Fraszkach“ Kochanowskiego; ostatnie zwłaszcza ze względu na swą gruntowość i niezwykłe wczucie się w materjał stanowi narówni z jubileuszową pracą Windakiewicza niedoścignione arcydziełko literatury krytycznej o czarnoleskim poecie.

NA WIDOWNI

W sto lat po śmierci Jana Śniadeckiego. — O sens walki i celowość. — Bojówka jako ostatni argument. — Romantyczna poza bandytyzmu. — Wielki klasyk i jego walka o suwerenność rozumu. — Co nam dał romantyzm? — Pierwiastki rzymski i niemiecki. — Przezwyciężenie romantyzmu.

KIEDY te słowa dojdą do czytelnika, będzie on zajęty rzucaniem kartki do urny, o ile żywy do niej dotrze. Zapóźno tedy dawać mu rady, co ma czynić. Jakikolwiek będzie wynik wyborów — to jedno wiemy — walka pozostanie naszym losem, jaki nam był sądzony od urodzenia.

Nasza walka ma naturę pracy i jest systemem. To, co teraz nam się przeciwstawia, budzi zdziwienie i zgorszenie przez to, że tak rzadko ma sens celowości i że w formie zapożyczone jest z wzorów, jakie nam dają męty społeczne. Dziwić musi każdego, dlaczego obóz, rozporządzający tak potężną organizacją siły państwowej, ucieka się z takiem upodobaniem do bojówek, rekrutowanych na Powiślu z nożowców i złodziei. Bojówki, które działały w czasach rewolucji przed 25 laty, jak widzimy ze wspomnień, spisywanych przez dzisiejszych dygnitarzy, składały się z żywiołów w porównaniu z temi arystokratycznych, a jednak ileż ciężkich konsekwencyj spowodowały one w postaci bandytyzmu kryminalnego i politycznego; dziwić więc musi lekkomyślność ludzi, „współpracujących z rządem“, że do tej współpracy powołują męty, które łatwo stać się mogą podstawą organizacyjną rewolucji komunistycznej. Tłumaczyć sobie można to zjawisko tylko starem przyzwyczajeniem do pewnej atmosfery i pewnych form „czynu“. Są ludzie, którzy znalazłszy się na wytwornej uczcie, z upodobaniem wyciągną z kieszeni kawałek kiełbasy, aby po swojemu zażyć rozkoszy. I wiele innych zdziwień i zgorszeń. Np. co do celowości takich zarządzeń, jak Brzeskie. Ileż kłopotu sobie i państwu przez to przysporzono!

Kwestja celowości nie jest rzeczą bagatelną jeśli chodzi o zabiegi, zmierzające do zdobycia zaufania dla ludzi, którzy odtąd bez pomocy stronnictw politycznych i bez kontroli dysponować mają losami Polski. Programu żadnego niema; za program muszą być brane czyny. Te nie budzą zaufania ani w kraju, ani zagranicą.

To, co się teraz dzieje w Polsce na widowni publicznej, wygląda tak, jakby ktoś w stylu futurystycznym zagrał „Zbójców“ Schillera. Bomby „łzawiące” napełniane są zjełczałą romantycznością. Bandytyzm wyciskający ludziom łzy mechanicznie — oto parodja romantyzmu, którego stulecie święcimy. „Czucie i wiara silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko“ — zapewnia publicysta z prasy sanacyjnej. Rozum w pohańbieniu. Kultura polityczna tak się obsunęła, że można tworzyć podstawy czynów dziejowych w oparciu o wiarę w jednostkę. Zrzeczono się myślenia.

A jest właśnie stulecie Jana Śniadeckiego (ur. 1856 zm. 21 listopada 1830), wraz z którym dla wielkiego odłamu ludzi w Polsce zmarł rozum.

Ignacy Chrzanowski w pięknym odczycie, wygłoszonym w czerwcu w Akademji Umiejętności, a teraz wydanym osobno, zaznaczył w nawiasie, jako okoliczność dla Śniadeckiego pomyślną, że zmarł, nie doczekawszy powstania. Zamknęła się z nim karta klasycyzmu polskiego. Wyczuwa się teraz w Polsce przesyt romantyzmem. Patologiczne pozy opóźnionej w kulturze demokracji, stylizującej się w wieku XX na atawizm romantyczny, wywołują obrzydzenie i tęsknotę do klasycznej postawy ducha. Takim klasykiem w wielkim stylu był Jan Śniadecki.

Zarówno klasycyzm, jak i romantyzm w dziejach kultury polskiej były zjawiskami, wykraczającemi poza ramy literatury; w literaturze raczej były zjawiskami pochodnemi. Romantyzm był postacią prądu rewolucyjnego i dopływom ze źródeł politycznych zawdzięczał swoją siłę. Klasycyzm Śniadeckiego, przystrojony w modne szaty Wieku Oświecenia, był najwyższym wykwitem cywilizacji polskiej, która odczuła potrzebę w obliczu nieszczęść, grożących Polsce, „stabilizowania“, jak się dziś mówi, swoich zdobyczy. Dusza polska w klasykach polskich organizowała się na ciężką kampanję porozbiorową. Miała w sobie wiele żywotności, łączyła bowiem szczęśliwie pierwiastki rodzime z kulturą rzymską, w krew już wszczepioną. Świadomie opierała się wpływom niemieckim. Mickiewicz miał od Śniadeckiego w dziedzictwie poczucie niebezpieczeństwa dla duszy polskiej wpływów umysłowości germańskiej.

Romantyzm był rewolucją, która zdetronizowała rozum. Śniadecki zginął nam z oczu, pozostał bowiem poza górą wulkaniczną rewolucyj XIX wieku.

Słusznie prof. Chrzanowski pisze o nim:

„Był jednym z najlepszych nauczycieli swego narodu, jakich Polska miała przez wszystkie wieki swego istnienia“. Praca jego bowiem „była oparta na doskonałej znajomości zarówno dodatnich, jak ujemnych stron umysłu i charakteru narodowego i na zrozumieniu potrzeb kulturalnych narodu“.

Przeszkodziła tej pracy na niwie sprawy publicznej szkoła łatwiejsza stylu uczuciowego. Improwizacja uczuć jest przyjemniejsza, bo uczuciom narodu klęska zostawia pewną rozkosz — martyrologji.

Śniadecki był wodzem tego pokolenia sławnego klasyków, które na wschodzie wielki obszar Polski wzniosło na wysoki poziom pracą swoją w Komisji Edukacyjnej. Śniadecki wystąpił do walki jako wychowawca, postawiony na straży wielkiego dzieła wychowania narodowego na Litwie i Rusi. Trudno nam dzisiaj wyobrazić sobie, jak wielkie poczucie odpowiedzialności ożywiało pracę takich ludzi, jak Śniadeccy, Czartoryski, Czacki. Dokonywali dzieła w ścisłem wtajemniczeniu politycznem, pod wielką odpowiedzialnością osobistą, w niesłychanem napięciu dobrej woli, patrjotyzmu i szlachetnej ambicji. Śniadeckiemu nie imponowało hasło romantyzmu „mierz siły na zamiary“, bo ani on, ani Czartoryski nie tchórzyli przed zamiarami, ale wierzyli, że właśnie dla ich realizowania potrzeba rozumu. Światły i gorliwy apostoł polskiej nauki i kultury miał nie tylko „czucie“ polskie, ale i „wiarę“ w naród i w jego bogactwa duchowe. Warte najpiękniejszej poezji było jego przeświadczenie, że „co się nie da w narodowym języku do zrozumienia wytłumaczyć, to jest i naukom i narodowi niepotrzebne“. Taka była wiara jego w mowę polską, jako czynnik twórczości.

Zdawał sobie sprawę, że gmach, przez niego wznoszany, jest natury niematerjalnej, że bronić trzeba ducha narodowego od zarazy — czy od strony filozofji, czy polityki, czy poezji. Bronił dlatego terenów filozofji od inwazji mietafizyki niemieckiej, którą uważał za „najniebezpieczniejszą dla

kraju, zaczynającego się porządnie uczyć".

Przywykliśmy uważać za postępowe to, co nastąpiło po czemś, jako nowość. Takie kryterjum kalendarzowe nie wytrzymuje tutaj próby. Jeśli chodzi o „postęp" w wolnomyślności, nie może być pomawiany o zacofanie ten, kto wierzy w rozum i w doświadczenie, jako metodę poznawania. Rewolucja romantyczna miała polegać właśnie na detronizowaniu rozumu i proklamowaniu na jego miejsce wolnego natchnienia.

Na całym świecie uznano dobę romantyzmu za okres reakcji, za proces cofania się z poziomu oświecenia na poziom czucia naturalnego i barbarzyństwa. W Polsce zamach ten wydał na jednem polu rezultaty dodatnie — na polu sztuki. Kto wie jednak, czy nie dałoby się ich osiągnąć w drodze powolnej ewolucji bez pomocy metafizyki niemieckiej.

Któż dzisiaj, rzuciwszy okiem wstecz na stuletnie dzieje naszej kultury, nie spostrzeże, że koło r. 1830 skrzyżowały się dwa niepodobne do siebie style cywilizacji duchowej: rzymskiej i niemieckiej i że ten drugi nie daje się w żaden sposób sharmonizować z treścią naszej budowy psychicznej. Ani kantyzm, uprawiający umysł człowieka w dwupolowej gospodarce teorji i praktyki, ani późniejszy marksizm ze swoją wieczną wojną domową w celu kantowania piramidy społecznej do góry podstwą, nie służą Polakowi, który może ma małą kulturę *ilościową*, ale ma zmysł realny i doskonale jest nastawiony na typ życia pełnego i harmonijnego zarówno w jednostce, jak i w społeczeństwie.

Śniadecki miał rację: romantyzm, jako metoda myślenia, nie pozwolił Polsce „porządnie się uczyć". Porównawczo rzecz biorąc z wiekiem XVIII-tym i uwzględniając rekompensaty romantyzmu, świadczone w dziedzinie kształcenia uczuć patrjotycznych, musimy przyznać, że sprawie hodowania całego człowieka, harmonijnego, panującego nad sytuacją rozumem, przydatnego do walki w warunkach nowoczesnych mniej się przysłużył romantyzm, niż mógłby to zrobić klasycyzm.

Mamy tego najlepszy dowód z przysług, jakie oddał kulturze myślenia politycznego i sprawie polskiej nawrót do rządów rozumu, rehabilitowanego przez pozytywizm. Nasze dopiero pokolenie na schyłku wieku XIX potrafiło stworzyć ruch narodowy przez pogodzenie zbuntowanych uczuć z rozumem jako czynnikiem w myśleniu kierowniczym.

Gdyby nie ten obóz narodowy, uznawany dzisiaj tylko za partję i najsrożej prześladowany przez „romantyków", gdyby nie zdrowe instynkty mas ludowych, do których działanie romantyzmu nie dotarło, Polska byłaby przedmiotem wielkiej wojny martwym, albo igraszką ludzi niepoczytalnych, doprowadzonych przez romantyzm i marksizm do zupełnej utraty poczucia rzeczywistości.

Trudno już teraz zepchnąć naród do roli parjasa, pozbawionego korony człowieczeństwa, choćby się ta korona komuś, pijanemu szałem bezwiedności, wydała prowokacją. Ocalona dla rozumu myśl polityczna wiedzie za sobą ład w życiu duchowem i musi mu przywrócić styl cywilizacji łacińskiej.

Patronem tej świadomości i tych usiłowań zostanie dla Polaków myślących po wszystkie czasy między innymi Jan Śniadecki.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NAROD IDZIE DO URNY

STRONNICTWO Narodowe ogłosiło krótką, pełną godności odezwę:

„Zbliża się dzień wyborów. Będzie to próba sił, przedewszystkiem zaś — charakterów. Tylko w trudnem położeniu, w ogniu walk poznaje się charaktery ludzi i objawia się dusza narodu.

Do walki wszystko z naszej strony jest przygotowane. Front bojowy jest ustalony, kierunek wyznaczony, rozkazy wydane. Przewidziane zostało wszystko, co się dało przewidzieć. Do dnia wyborów nic w tem wszystkiem nie może być i nie będzie zmienione. Żadne podstępy, ani manewry dywersyjne nie mogą zmienić naszego stanowiska, ani zmniejszyć siły ataku. Walka jest rozpoczęta, żadnej zmiany planów nie będzie.

W razie nieprzewidzianych przeszkód ufajcie tylko temu, co tkwi w waszych sercach i w waszem sumieniu. Pamiętajcie, że Polska nie została utworzona przed jedenastoma, czy przed czterema laty, lecz w tysiącletniej swojej historji przebyła zwycięsko tyle klęsk i przeciwności, iż nie da się byle czem zmarnować i byle komu pokonać. Naród Polski w gorszych niż obecne trudnościach umiał wykazać dojrzałość i energję. Tej dojrzałości i energji da dowód także przy nadchodzących wyborach.

Z wiarą w naród, ochotą i fantazją pójdziemy wszyscy w karnym ordynku do głosowania, aby spełnić nasz obowiązek względem Polski i oddać swe głosy na Listę Narodową.

Z pomocą Bożą wygramy tę bitwę, aby pójść dalej po ostateczne zwycięstwo.

Hasło nasze na najbliższe dnie brzmi:
Niech żyje Lista Narodowa Nr. 4!

ZE ŚWIATA

PROBLEM EURAZYJSKI

W OSTATNICH czasach, jak to nietrudno zauważyć na podstawie prasy we wszystkich niemal językach, powiał w życiu politycznem nietylko Europy, ale całego niemal świata cywilizowanego jakiś „wiatr przeciw wschodowi". Przyczynę tego „wiatru", jego specyficzne własności, zasadnicze jego cechy omówił szczegółowo, dając świadectwo wszechstronnej i głębokiej swej wiedzy, a zarazem niezwykłej intuicji, Roman Dmowski na łamach „Gazety Warszawskiej" [1]). Ze wszystkich wypowiedzianych tam uwag i rzuconych myśli najwięcej interesujący jest problem przyszłej polityki państwa rosyjskiego, niezależnie od tego, jakie formy polityczne państwo to przybierze. Roman Dmowski twierdzi, że całą swoją ekspansję, całą ofensywę polityczną i gospodarczą skieruje Rosja ku wschodowi. Otóż to zapatrywanie dlatego właśnie tak mię ude-

[1]) Rozprawa „Sprawy rosyjskie", ogłoszona w kwietniu 1930 r.

rzyło, że niemal w zupełności pokrywa się z tak zwanym problemem eurazyjskim, polityczno-historycznym kierunkiem jednego z licznych odłamów emigracji rosyjskiej. Wychodźtwo rosyjskie miałem możność poznać na terenie najbardziej chyba wdzięcznym, na terenie, gdzie rozsiani wśród obcych i niemal pochłonięci przez nich Rosjanie, dzięki poczuciu wyższości kulturalnej i cywilizacyjnej, nie wynarodawiają się, nie zatracają swych własności szczepowych, ani cech indywidualnych, właściwych temu tylko narodowi. Terenem tym jest Daleki Wschód. Tam emigracja rosyjska stosunkowo najwyżej trzyma sztandar swej odrębności kulturalnej i rasowej, w przeciwieństwie do innych skupień wychodźców rosyjskich, jak np. w Niemczech. Francji lub choćby w Polsce, gdzie ulegają oni szybkiemu wynaradowieniu. To też życie duchowe wychodźtwa rosyjskiego na Dalekim Wschodzie płynie w bardzo szybkiem tempie i tętni prawdziwą żywotnością. Oddaleni o tysiące kilometrów od stolic rosyjskich, które, mimo zbolszewizowania, nie przestały być kolebkami kultury rosyjskiej, jak również od wielkich centrów europejskich, które są zarazem centrami życia umysłowego wychodźtwa rosyjskiego — emigranci na Dalekim Wschodzie, szczególnie zaś w Mandżurji, gdzie miasto Charbin jest głównym rosyjskim ośrodkiem kulturalnym, są zawsze *„au couraut“* wszystkich najnowszych prądów, kierunków, problemów zarówno politycznych czy społecznych, jak naukowych i literackich, które, zrodzone gdzieś na Montparnasse czy „pod lipami“ w Berlinie, przychodzą na Daleki Wschód najczęściej drogą okrężną przez Amerykę lub drogą. Marsylja — Port Said — Aden — Colombo — Singapore — Szanghaj, gdyż bolszewicy starają się, o ile mogą, przeszkadzać stosunkom różnych środowisk emigracyjnych.

Problem eurazyjski w swych założeniach podstawowych jest już bardzo stary. Kiełkował w niektórych umysłach jeszcze za czasów carskich — zrodził się, jako reakcja przeciwko nadmiernemu „zapadniczestwu“, t. j. prądowi kulturalnemu, który głosił, że zadaniem Rosji, zarówno pod względem politycznym, jak kulturalnym, jest jak najściślej zespolić się z rodziną zachodnich państw europejskich. Właściwie jednak istotne powstanie i sformułowanie zasad idei eurazyjskiej przypada na okres emigracyjny, okres, w którym z pierwotnego przygnębienia, oszołomienia i chaosu myślowego począł się wyłaniać też istny chaos idej, problemów, prądów, nie potrzebujących już się krępować ani oglądać na panujące dawniej, za czasów carskich, cenzurę i ograniczenie swobody myśli, narzucające każdemu poddanemu cesarza Wszechrosji *„kazionnyj“* światopogląd; z drugiej zaś strony znajdujących się poza orbitą cenzury i ograniczeń sowieckich. Powstały więc różne obozy, wzajemnie się zwalczające o to, kto będzie rządził w Rosji, gdy bolszewizm upadnie (co do tego, nikt prawie na emigracji nie ma, a ściślej mówiąc, nie miał najmniejszych wątpliwości!), jak ta Rosja będzie wyglądała, jak się rozstrzygnie cały szereg nowopowstałych zagadnień, jak np. kwestja Polski i t. d. Jak grzyby po deszczu, rodziły się liczne szkoły historyczne, rozstrzygające kwestję, kto ponosi winę za to, co się z Rosją stało. Wszystkie kierunki polityczne, które powstały jeszcze przed rewolucją, a po przewrocie marcowym 1917 roku jeszcze się rozmnożyły, obecnie wypędzone przez bolszewików, na obczyźnie rozprawiają na wspomniany wyżej temat „winy“, zwalając ją wzajemnie jedni na drugich. Z całego tego chaosu partyj, odłamów, kierunków — na pierwszy plan wybił się, siłą reakcji, obóz skrajnie konserwatywny, reprezentowany przeważnie przez byłych wojskowych, szczególnie ze sfer t. zw. „kozaczych“, który głosił, że cała długoletnia robota wolnościowa, konstytucja, Dumy, wreszcie sam przewrót, zmiana *regime*’u i obalenie dynastji — wszystko jest jednym olbrzymim błędem historycznym, grzechem przeciwko Bogu, przeciw narodowi i państwu. Twierdząc, że najlepiej było tak, jak było, głosili, że tak powinno być i w przyszłości, i z chwilą, gdy bolszewizm upadnie, ma nastąpić restauracja monarchji i dawnego porządku rzeczy, bez wprowadzenia lub zatrzymania jakichbądź inowacyj — granice zaś państwa rosyjskiego muszą być conajmniej takie, jak w r. 1914!

Pogląd ten znajdował z początku coraz to nowe rzesze zwolenników. Szereg dawnych bojowników wolności, rewolucjonistów, demokratów i t. p., przerażonych skutkami swej własnej roboty, uderzyło się w piersi i przystąpiło do obozu konserwatywnego, na którego czele stał zmarły niedawno wielki książę Mikołaj Mikołajewicz — duchowym zaś przewodnikiem, czemś w rodzaju wieszcza idei — był powieściopisarz ataman Krasnow.

Liberalniejszy nieco kierunek monarchistyczny reprezentował t. zw. „cesarz koburski“ (gdyż stale przebywał w Koburgu), wielki książę Cyryl Włodzimierzowicz, który jednak, mimo że jego prawa do korony były większe, niż Mikołaja Mikołajewicza, nie cieszył się na emigracji taką popularnością, jak sędziwy *generalissimus* z czasów wojny z Niemcami. Ilość zwolenników księcia Cyryla przed śmiercią Mikołaja Mikołajewicza była niemal znikoma.

Jakkolwiek obóz konserwatywny pozyskał sobie taką olbrzymią popularność w szerokich sferach emigracji rosyjskiej, w umysłach trzeźwiejszych, w kołach polityków, umiejących ogarniać wzrokiem szersze horyzonty, entuzjazm ów przyjmowano z politowaniem i niedowierzaniem. Mimo najlepszych chęci i najgorętszej wiary, nie mogą przecież konserwatyści zatrzeć w dziejach Rosji faktu, jakim była rewolucja. Z faktem tym, przeszedłszy do porządku dziennego nad wszelkiemi mrzonkami i utopjami, należy się liczyć. Historycy wyraźnie i głośno zaczęli zwracać uwagę na to, że Piotr Wielki, wprowadzając sztucznie państwo rosyjskie, zupełnie swoisty organizm polityczny, na teren polityki europejskiej i starając się na gwałt zaprowadzić tam „Jewropę“, popełnił wielki błąd dziejowy. Z drugiej strony lata mijały, a bolszewizm jakoś nie upadał. Słabsze natury ulegały głosowi serca i wracały do ojczyzny, bijąc czołem przed nowymi władcami Kremla i ich ideologją; większość jeszcze uparcie wołała, że chcą Rosji z przed roku 1914, ale coraz bardziej tracili grunt pod nogami; nowe, młode generacje poczęły w zastraszająco szybki sposób wynarodowiać się. Umysły, z niepokojem patrzące w przyszłość kultury rosyjskiej, której nosicielka - inteligencja prawie cała wyemigrowała zagranicę — w dodatku wolne od fanatyzmu i krańcowości — zaczęły z początku przebąkiwać, a potem coraz głośniej wołać o porozumienie między Rosją wczorajszą — emigracyjną, a dzisiejszą — Sowietami, by stworzyć Rosję jutrzejszą.

Właśnie na podłożu tych dwu nowopowstających problemów: próba wyznaczenia Rosji innej roli dziejowej, niż ta, którą kazał jej grać carat

od czasów Piotra Wielkiego; powtóre — szukanie kompromisu z Rosją dzisiejszą — powstał historyczny, polityczny i społeczny kierunek, nazwany „Eurazyjskim". Głosiciele zaś jego nazywali siebie „Eurazyjczykami".

Jako imię oficjalnego twórcy tego kierunku, przejdzie do historji nazwisko księcia Trubieckoja. On i jego „współwyznawcy" próbowali drogą naukowego badania historycznego dowieść emigracji, że rewolucja była koniecznością dziejową, i to nie tylko w pojęciu koniecznego zła, ale owszem faktem, który zniósł dużo instytucyj zmurszałych, odświeżył sytuację społeczną i ekonomiczną, która przedtem była nie do zniesienia, a głównie zawrócił Rosję z błędnej drogi, na którą skierował ją Piotr Wielki.

Jak należało się spodziewać, „Eurazyjczycy" ściągnęli na siebie istną burzę ze strony konserwatystów. Odsądzano ich od czci i wiary, przezywano zdrajcami, wytykano sympatje do bolszewizmu i t. d. Z biegiem czasu jednak na emigracji poczęło coraz bardziej rozpowszechniać się przekonanie, że jest to bądź co bądź niemal jedyny racjonalny i mający dane na żywotność kierunek.

Poczęto więc bardziej spokojnie i uważnie przysłuchiwać się ich teorjom. Zaczęto nawet przyznawać im słuszność. Kierunek eurazyjski jednak, który powstał w ośrodkach emigracyjnych, Paryżu i Berlinie, największe triumfy święci wśród wychodźtwa rosyjskiego na Dalekim Wschodzie, co wydaje mi się rzeczą zupełnie naturalną.

W Mandżurji, głównie w Charbinie, większość emigrantów po raz pierwszy znalazła się w prawdziwej, „żołtej" Azji. Tu też po raz pierwszy oko w oko zetknęli się z rasą mongolską na jej własnych ziemiach, poznali doniosły problem azjatycki i cały szereg jego odgałęzień, kwestyj drobniejszych. Dopiero tutaj uprzytomnili sobie, jaką wielką rolę w dziejach ludzkości odegrały, a tem więcej mogą jeszcze odegrać narody, przynależne do rasy mongolskiej; jaką potęgę stanowi Japonja, jakie zatajone siły drzemią w narodzie chińskim. Dopiero teraz zrozumieli, dlaczego Rosja przegrała wojnę w 1904/5 roku, dlaczego tak bardzo zależało Chińczykom na opanowaniu kolei wschodnio-chińskiej, którego dokonali natychmiast w r. 1920, jak tylko Rosji pośliznęła się noga...

I ci ludzie sami, na podstawie własnego doświadczenia doszli do wniosku, tego samego, jaki wysnuli szperający w papierach i dokumentach, zamknięci w gabinetach het, gdzieś w Paryżu, Berlinie, czy Rydze uczeni. Jeżeli Rosja nie chce utracić swych olbrzymich posiadłości w Azji, jeżeli nie chce wyrzec się swych mocarstwowych ambicyj, pozbawić się wpływów i znaczenia — powinna, czy to będzie rząd sowiecki, czy carski, czy umiarkowanie republikański dać święty spokój marzeniom o hegemonji w Europie, choćby nawet wśród słowiańskich narodów, a zwrócić się z całą swą siłą, z całą swą energją ku Wschodowi.

I w przeszłości szukali dowodu na to. I znajdowali. Poglądy historyczne Eurazyjczyków wyraża książka Wernadskiego „Dzieje Rosji". Przedstawia on jej historję, jako walkę między dwoma pierwiastkami: lasem (obszary, zajmowane przez słowian wschodnich w zaraniu dziejów państwa rosyjskiego) i stepem (obszary, zajmowane przez koczowników mongolskich). Walka ta przez długie wieki prowadzona była ze zmiennem szczęściem. W końcu zwyciężył las, ale zamiast połączyć się ze stepem, a nawet dobrowolnie mu ulec, jako większemu, sztucznie step ten ujarzmił. Walkę ową, symbolizującą zmaganie się żywiołu słowiańskiego z mongolskim na ziemiach rosyjskich, powinno zakończyć harmonijne zlanie się lasu ze stepem, przyczem step, jako większy, obszerniejszy, potężniejszy, powinien mieć, jeżeli nie pierwszeństwo, to przynajmniej równorzędne stanowisko. Stąd nazwa „Eurazja", gdyż posłannictwo swe dziejowe powinna Rosja spełniać nietylko w Europie, lecz w Azji.

Wywody Wernadskiego rozszerzył i pogłębił dziennikarz charbiński, p. Wsiewołod Iwanow w książce p. t. „My". Opierając się na faktach i dokumentach, stwierdza on, że Rosja już w w. XIII straciła kontakt z Europą, ujarzmiona przez Mongołów. W dalszym ciągu rozwiewa legendę o uciemiężaniu Rosji przez Tatarów i o celowej jakoby akcji o wyzwolenie się z niewoli mongolskiej. Stwierdza, że księstwo moskiewskie w zarodku swym powstało na sposób zupełnie azjatycki i takiż miało charakter, dopóki bizantyńskie i cezarjańskie ambicje Iwana Groźnego nie zwróciły go gdzieindziej. Ale i wtedy dzieje Rosji poszłyby innemi torami, dzięki zdobyciu Kazania, Astrachania, wreszcie podboju Syberji i rozległych połaci w Azji. Rosję czekało wielkie zadanie niesienia kultury słowiańsko-bizantyjskiej na wschód. Dopiero Piotr Wielki pchnął ją na fałszywe tory i odtąd, wchodząc niby do rzędu państw cywilizowanych, w rzeczywistości sprzeniewierzyła się swej misji historycznej.

Rewolucja, według Eurazujczyków, przyniosła wprawdzie wiele złego, ale naprawiła błędy przeszłości. Nie można trwać w tępym, a ślepym konserwatyzmie. Należy szukać nowych dróg, nowych reform, coby zaprowadziły w kraju ład i porządek.

Godząc się na względny kompromis z bolszewikami i widząc w tem jedyne wyjście z fałszywej sytuacji, potępiają jednak Eurazyjczycy zarówno metody, jak i niektóre wytyczne bolszewizmu. Przedewszystkiem żądają zaprzestania walki z religją. W Rosji jutrzejszej chcą oprzeć się o lud wiejski, stanowiący lwią część całego narodu, właściwie nawet cały niemal naród. Według Eurazyjczyków zaś prawosławie tak głębokie zapuściło korzenie w ludzie rosyjskim, że na nic się nie przyda wszelka walka z religją. Kto chce współpracować z ludem, nie powinien zapominać o religji, jako pierwszorzędnej wartości społecznej w Rosji. Wyraz tym poglądom najskrajniej chyba dał Wsiewołod Iwanow w jednym ze swych fejletonów, drukowanych w charbińskiem piśmie „Gun Bao" (po chińsku: Organ Urzędowy). Pisze tam: „Widziałem we śnie starą, piękną Moskwę... Święto.. We wszystkich cerkwiach biją dzwony... A na Placu Czerwonym, przed Kremlem, jako przyjaciele najserdeczniejsi, objąwszy się chodzą Pan Jezus z Leninem"!...

I w Charbinie, jak i gdzieindziej, konserwatyści rzucili się na Eurazyjczyków (za pośrednictwem swego organu „Słowo Rosyjskie"). Ale idea eurazyjska coraz więcej znajduje sobie zwolenników. Wprawdzie niektórzy Eurazyjczycy (np. Wernadskij) żądają oderwania od Polski, Rumunji i Czechosłowacji tych wszystkich ziem, które zamieszkują jakiebądź odgałęzienia rosyjskich, właściwie „ruskich" plemion — ale niebawem przyjdą prze-

cie do wniosku, że to utopja, jak utopją są mrzonki konserwatystów z r. 1914.

Z drugiej zaś strony program eurazyjski wyznacza Rosji właściwe jej miejsce w świecie i historji. Niosąc kulturę europejską na Daleki Wschód, broniąc swych posiadłości w Azji, nie będzie miała ani czasu, ani chęci do odgrywania jakiejś roli w Europie. To też spokojniej mogą spać ci wszyscy, którym sen płoszy z powiek widmo ekspansji rosyjskiej na Europę. Raczej ta sama Rosja będzie przedmurzem, broniącem Europy od ewentualnego „żółtego niebezpieczeństwa".

Lwów TEODOR PARNICKI

WYCHOWANIE NARODOWE

MĘTY

W OSTATNICH paru latach nasze władze oświatowe objawiają bardzo żywą troskę o stronę wychowawczą naszych szkół. Wydano całe fury okólników, które pracę wychowawczą nauczycielstwa mają ułatwiać, zdyswalifikowano szereg szkół prywatnych, ponieważ ich poziom wychowawczy był jakoby zbyt niski, odbywają się coraz to inne próby sklecenia tak zw. ideologji wychowania państwowego, a przedewszystkiem — organizowane są — kursy wychowawcze. W Warszawie powstała specjalna szkoła dla nauczycieli szkół średnich wychowawców. Co 5 tygodni deleguje się coraz to nowy *turnus* nauczycieli, którzy otrzymują płatny urlop po to, żeby przez kilka tygodni wchłaniać w siebie różne teorje pedagogiczne, wygłaszane przez uczonych profesorów oraz żeby zdobyć encyklopedję przepisanych zabiegów wychowawczych w szkole, wykładaną w skondensowanej formie przez specjalistów od różnych mniej lub więcej niezawodnych „chwytów".

Byłem uczestnikiem takiego kursu wychowawczego i nie chcę tu kwestjonować dobrej woli jego organizatorów, mimo pewnych koniecznych momentów, wnoszonych zwłaszcza przez różne bardziej natchnione niż inteligentne prelegentki. Nie będę też mówił o tym sosie partyjno-propagandowym, którym polewa się obficie rybki nauczycielskie, włożone do kotła takiego kursu. Nie będę wreszcie mówił o tych herbatkach w „Zrębie", w których przeważnie uczestniczą nasi „wychowawcy", rozumując widać, że ostatecznie ludziom, którzy biorą jakieś tam (chude coprawda) djety, wypada być prymitywnie grzecznym dla organizatorów.

Ale mam inną refleksję, która mi się ciśnie pod pióro, jako absolwentowi kursu. Czy istotnie sztuka wychowania jest sztuką tak łatwą, że można się jej nauczyć przy pomocy kilku okólników i pięciotygodniowego kursu? Czy nasze kursy nie przypominają trochę tego „*Nürnberger Trichter*"— lejka norymberskiego, przy którego pomocy w Niemczech w XVI, czy w XVII wieku próbowano preparować poetów? Czy człowiek, który po takim kursie będzie pięknie gadał o wychowaniu, będzie już przez to samo dobrym wychowawcą? Albo może będzie nim ten tylko, kto sprawnie będzie kierował samorządem szkolnym i przysposobieniem wojskowym?

Zdaje mi się, że osobowość nauczyciela jest w roli wychowawczej szkoły czynnikiem stokroć ważniejszym niż wszelkie teorje, wszelkie programy i przepisy, niż najhygjeniczniejsze urządzenia i najlepsze zbiory naukowe.

Cudowna sztuka wychowania ma w sobie coś z poezji, którą promienieje i nieuczony genjusz, ale której żadne regułki nie wykrzesają z bezdusznego inteligenta. Jest ona przywilejem nauczycieli o czystych duszach i mocnych charakterach, nauczycieli, którzy nietylko kochają młodzież, ale którzy ponadto potrafią jej zaimponować życiem własnem. Rozpustnik lub moralny karjerowicz nie będzie miał nigdy wpływu wychowawczego na młodzież, choćby skończył z odznaczeniem dziesięć kursów wychowawczych. Czyste, niezepsute dusze młodzieży w lot pochwycą fałsz wewnętrzny i zareagują nań pogardą lub buntem.

Istotnie, cóż pomoże najsubtelniejsze kazanie etyczne nauczyciela, którego młodzież zna jako nałogowego alkoholika i rozpustnika? Albo czy miałby prawo żądać posłuszeństwa wobec przepisów szkolnych człowiek, o którym młodzież wie, że sam w praktyce jest entuzjastą łamania prawa? Czy w tych warunkach można sobie wyobrazić jego wpływ wychowawczy?

Albo czy można sobie wyobrazić w roli wodza duchowego młodzieży człowieka, o którym ogólnie byłoby wiadomo, że wielokrotnie skalał swe usta kłamstwem? Można zdobyć sobie stanowisko dowódcy sił zbrojnych państwa, nawet *sit venia verbo* pozować na wodza narodu, a mimo to nie mieć żadnych szans na wodza młodego pokolenia, jak o tem codziennie doświadczenie poucza.

Jeden jest bowiem tylko zabieg niezawodny w sztuce wychowania. Jest nim zabieg własnego przykładu. I jeden tylko jest „chwyt" zawsze skuteczny — chwyt prawdy wewnętrznej: zgodności między słowem a uczynkiem. Poprzez przepaść między słowem a uczynkiem nie dosięgną młodzieży najmisterniejsze chwyty. Niech więc nikt nie marzy o zdobyciu wpływu na młodzież, kto nie zdoła pozyskać jej szacunku.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Powyższe reflekcje „przeszkolonego" już na kursie nauczyciela, wywołane zostały codzienną prozą życia. Próbkę tej prozy zawiera nr. 31 „Przeglądu Pedagogicznego" (organu T.N.S.W.), przytaczający jako *curiosum* odezwę, wystosowaną przez jeden z oddziałów Związku Zawodowego Nauczycielstwa Szkół Średnich w okręgu lwowskim do nauczycielstw sąsiedniego miasta dla pozyskania go do świeżo powstałej organizacji. Odezwę tę pozwalam sobie w wyjątkach przytoczyć:

„Zwiazek Zawodowy Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich w X.: J. Wielmożny Panie Dyrektorze! Sąsiadujące z miastem Y miasto X zorganizowało w czerwcu 1930 r. Związek Zawodowy Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich. Związek nasz, chociaż dopiero od czterech miesięcy istniejący, rośnie z dniem na dzień w siłę. W chwili powstania liczył zaledwie 10 członków, dziś zaś, mimo, że trzech członków odeszło z X dla objęcia posad dyrektorów szkół średnich, trzej zaś inni pełnią funkcje dyrektorów w prywatnych szkołach średnich w X (podkreślenie redakcji „Przegl. Ped."), jest członków 26. Ponieważ ustrój państw nowożytnych wymaga łączenia jednostek w związki, gdyż w pojedynkę nawet najsilniejszy i najsprytniejszy jest słabym, dlatego nie potrzeba chyba nikomu dowodzić, że samopas nikt chodzić nie po

winien i nawet nie może. Stąd też bierze początek nasz Związek. Istnieje wprawdzie dawne zrzeszenie nauczycieli szkół średnich, T. N. S. W., lecz ideały tego zrzeszenia, specjalnie zaś 1) ustawiczna walka z rządem, 2) także nieustające zatargi z nauczycielstwem szkół powszechnych oraz 3) politykomanja nie każdemu przypadają do gustu. Dlatego powstał, jako reakcja przeciw wspomnianym dążeniom, nasz Związek, który wywiesił jako hasło: 1) apolityczność, 2) lojalność wobec rządu, 3) zgodną współpracę z potężnym Związkiem Zawodowym *(sic)* Nauczycielstwa Polskich Szkół Powszechnych. Oparcie o tę cudownie zgraną organizację, liczącą przeszło 40.000 członków, daje naszemu Związkowi ogromną siłę materjalną i potężne wpływy dla obrony naszych najżywotniejszych interesów".

Odezwa ta jest niewątpliwie jaskrawym unikatem. Nie chcę obciążać nią całego Związku Zawodowego Nauczycielstwa Szkół Średnich, którego ideowości nie mam tu zamiaru przesądzać, jakkolwiek nie jestem ani jego członkiem ani zwolennikiem. Jest jednak ta odezwa typowym objawem niezmiernie charakterystycznego przegrupowania, które od chwili tak zw. „sanacji" szkolnictwa odbywa się w naszem szkolnictwie. Tworzą się i coraz to potężnieją związki ludzi sprytnych przeciwko towarzystwom ludzi — niepraktycznych. Powstają jakieś jawne i tajne „artele", zapewniające popłatne posady i bezkarność, tworzą się mocne, tęgie i cyniczne organizacje karjerowiczów, które sięgają po wpływowe posady i nadają ton szkolnictwu. Pomyśleć tylko, że tych 6 „sprytnych" dyrektorów zajmie się oczywiście przedewszystkiem organizacją pracy wychowawczej w szkołach sobie podległych. Cyniczna ideologja sprytu w triumfalnym pochodzie na łowy dusz młodzieży!

— — — — — — — — — — — — — — — —

W dniu 21 października 1929 r. prezes T.N.S.W., jeden z najwybitniejszych uczonych polskich, prof. Wacław Sierpiński złożył na ręce Ministra W.R. i O.P. uroczysty memorjał Towarzystwa w sprawie przeniesień nauczycielskich, dyktowanych względami tycznemi. W memorjale tym czytamy między innemi:

„Przekonanie, że o tych przeniesieniach stanowią przedewszystkiem względy polityczne, niepewność jutra, o którem rozstrzyga ich zmienność, szerzą wśród nauczycielstwa zniechęcenie do pracy szkolnej, zacierają indywidualności i łamią charaktery, wytwarzają wśród gron nauczycielskich atmosferę, w której rodzi się podejrzliwość, szpiegostwo, donosicielstwo, służalstwo, bezwzględność walki o zdobycie stanowiska, zajmowanego przez kolegę, a co niemniej groźne, wywołuje niewiarę w bezstronność władz szkolnych. Poczucie krzywdy, zadanej tak wielkiej liczbie nauczycieli, powiększa tragedję nauczycielstwa, i tak już upadającego pod ciężarem pracy zawodowej i pod brzemieniem materjalnych trosk. W atmosferze ogólnego przygnębienia, podrażnienia i nieufności nie może być mowy o zespolonej, uzgodnionej i wydatnej pracy, pełnej radości i zdrowego optymizmu. Jeżeli więc już nie wzgląd na wielką krzywdę jednostek, to wzgląd na dobro szkoły musi wywołać poważną troskę u nas wszystkich, którzy pragniemy widzieć w niej ostoję państwowotwórczej pracy nauczycielskiej i wychowawczej, niezależną od zmiennych z natury rzeczy wpływów politycznych".

Tak się sprawy przedstawiały rok temu. Czy od tego czasu ulegają zmianie na lepsze?

Jako skromny nauczyciel z prowincji nie jestem przy wielkim ołtarzu i trudno byłoby mi odpowiedzieć na to pytanie. Ale za odpowiedź może służyć wspomniana odezwa nauczycieli z Okręgu Lwowskiego. Odpowiedź przyniósł mi zresztą kurs wychowawców, na którym miałem sposobność usłyszeć od kolegów sporo szczegółów z różnych stron Polski. Twierdzą, że jest coraz gorzej, odnoszą chwilami wrażenie, że „sanacja" staje się u nas czemś w rodzaju piekielnego przyrządu do łamania kręgosłupów sumień nauczycielskich, twierdzą z przestrachem, że pojęcie moralności staje się w szkolnictwie czemś coraz rozciągliwszem.

Mały przykład. Podobno jeszcze przed paru laty jedna z wybitnych dziś działaczek na polu „sanacji" szkolnictwa wyznawała publicznie na zjazdach nauczycielskich, że historja wypadków majowych nie jest czemś dodatniem ze stanowiska pedagogicznego i że wymaga specjalnej ostrożności w omawianiu w szkole. Dziś ze strony najoficjalniejszej w Polsce każą nauczycielstwu „uderzenie majowe" zaliczać do „najcenniejszych pozycyj dla kapitału wychowania obywatelskiego"!...

Dziś przedstawiciele administracji szkolnej, którzy w najcyniczniejszy sposób łamią charaktery nauczycielskie, cieszą się jawnem poparciem i uznaniem naszych władz szkolnych.

Wreszcie cała obecna akcja przedwyborcza, związana ze straszliwą presją władz administracyjnych na nauczycielstwo, przeszła przez nasze szkolnictwo, jak jakaś brudna fala, znieprawiająca sumienia i charaktery i pozostawiająca cuchnące błoto w szkole.

Cóż z tego, że błoto deprawacji moralnej nie do wszystkich przyległo sumień, że na szczęście liczne są jeszcze szeregi zdrowego moralnie nauczycielstwa? Cóż z tego, gdy w obecnych warunkach najwyższą ich cnotą staje się dumne i pełne pogardy milczenie?

A może to istotnie najwyższa cnota? Może naprawdę nauczyciel, który umie wymownie milczeć, najlepiej przemawia do dusz młodzieży? Wszak: *qui tacent clamant!*

Ale na tę cnotę niestety ja się zdobyć nie mogę. I dlatego piszę te słowa. Dlatego poprzez opary mgieł i wyziewów, unoszących się nad naszą szkołą, chciałbym zawołać do naszych władz szkolnych: dajcie pokój z kursami wychowawczemi! Przywróćcie raczej panowanie prawdy w szkole! I przestańcie łamać charaktery nauczycieli i młodzieży!

CLAMANS

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Ks. Biskup Michał Godlewski, autor wielu cennych prac z dziedziny historji Kościoła w Polsce z czasów niewoli, wydał ostatnio pięknie napisane studjum p. t.: „Tragedja Arcybiskupa Felińskiego (1862 — 1863 r.)". W pracy swojej korzystał autor nietylko z bogatej literatury, odnoszącej się do epoki 63 r., lecz i z kilku nieznanych źródeł („Wspomnienia" ks. Wincentego Majewskiego, przyjaciela arcybiskupa Felińskiego; Listy arcybiskupa do ks. Majewskiego i t. p.), rzucających światło na stan duszy arcybiskupa w czasie jego ciernistych rządów archidjecezją warszawską. Na „tragedję duchową", którą w latach 1862 — 1863 przeżył nad Wisłą pasterz-patrjota, złożyło się sporo czynników, zarówno zewnętrznych, związanych z wypadkami ruchu po-

wstańczego, rozwijającego się podówczas w Królestwie, jak i wewnętrznych — mających swe źródło w istocie psychicznej arcybiskupa oraz w jego sumieniu kapłańskiem.

Arcybiskup Feliński nie był zwolennikiem ruchu zbrojnego, stał jednakże na stanowisku, które podkreślił dobitnie podczas rozmowy swojej z cesarzem Aleksandrem II, przed wyjazdem do Warszawy: ...„Jeśliby naród w szale zapamiętania — mówił do cesarza — nie uwzględnił mych przedstawień i ściągnął na siebie następstwa represji, ja przedewszystkiem spełnię obowiązki pasterza i podzielę niedolę ludu mego, chociażby sam stał się swych nieszczęść sprawcą".

Otóż „naród", t. j. ci, co go prowadzili do walki orężnej z wrogiem, nie uwzględnił przedstawień arcybiskupa, przeciwnie — widział w nim sprzymierzeńca rządu, — ten ostatni zaś, po krótkich ceregielach, załatwił się po swojemu z kapłanem patrjotą, potępiającym gwałty i represje zaborców. Na takiem tle rozwinęła się „tragedja duchowa" arcybiskupa Felińskiego, a skończyła się, jak sam przewidział, na tem, że „podzielił niedolę ludu swego". Szkic historyczny biskupa M. Godlewskiego żywo i przenikliwie odtwarza istotną, podwójną „tragedję" jednego z najszlachetniejszych Polaków i najdostojniejszych kapłanów naszych — z czasów wielkiej niedoli narodowej.

*

W a c ł a w G ą s i o r o w s k i (Wiesław Sclavus) wydał „1910 — 1915 Historja Armji Polskiej we Francji„ praca dokonana staraniem Stowarzyszenia weteranów armji polskiej w Ameryce. (Warszawa, 1931. Nakładem S-ki Akc. „Dom Książki Polskiej". — Str. XI, 404, 4 nlb.).

Dzieło rozplanowane na trzy tomy. Pierwszy z nich właśnie się ukazał, drugi i trzeci znajdują się w druku. Tom drugi zawrze okres lat 1916—1917.

Autor poczuwał się do obowiązku wykorzystania archiwów, które posiadał jako jeden z kierowników paryskiego Komitetu Wolontarjuszów, a ponadto i archiwów polskich organizacyj wychodźczych w Ameryce. Uporządkowanie i ogłoszenie tych źródeł jest dziełem wielce pożytecznem, tembardziej że autor z powodzeniem utrzymuje się na stanowisku bezstronnego opowiadacza. Objektywizm ten doprowadzony jest chwilami do przesady, np. zamilczano w wielu miejscach nazwiska autorów różnych jaskrawo-progermańskich enuncjacyj, aby nie czynić żyjącym „ludziom wielkiej przykrości" (str. 386).

Poza tym objawem zbyt miękkiego serca, który jednak przynosi uszczerbek prawdzie historycznej, a dalej poza zbyt może beletrystycznym chwilami stylem opowieści — pracę należy uważać za bardzo cenną.

Z oceną szczegółową trzeba się wstrzymać do chwili ukazania się dalszych tomów. Można jednak już teraz przewidzieć konieczność dyskusji z autorem na temat tezy zawartej w przedmowie: „...Armja polska we Francji jest nadewszystko czynem bezimiennej gromady... więcej w tej przełomowej chwili dokonał cichy, nieznany, ofiarny żołnierz-ochotnik, aniżeli ten, kto miał szczęście ponad tę gromadę się wzbić... i t. d. (str. 4)". Jeśli chodzi o płodną ofiarę t. zw. Bajończyków — to istotnie zasługę jej ma „czyn bezimiennej gromady" i nieznanego żołnierza; jeśli chodzi jednak o Armję polską, stworzoną we Francji — to wydaje się być ona wprost przeciwnie: czynem i zasługą wybitnych mężów stanu, a dopiero potem bezimiennej gromady.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Literacką nagrodę Nobla zdobył w tym roku amerykanin S i n c l a i r L e w i s, powieściopisarz (ur. 1885 r.), piszący od r. 1910. Sławę zapewniły mu powieści „Główna ulica" (1920), „Babbit" i „Dr. Arrow". W powieściach swoich maluje z dużem poczuciem humoru dobrze, po dziennikarsku, zaobserwowane śmieszności powszedniego życia w Ameryce.

*

„Flaubert ou les Fantômes de Trouville" (La Renaissance du Livre). Admiratorzy Flauberta zainteresują się tą książką, gdyż autor jej p. G é r a r d G a i l l y podaje w niej cały szereg szczegółów, dotyczących pani Schlesinger. Ta ostatnia była, jak wiadomo, pierwszą miłością młodego Flauberta. Autor *„Madame Bovary"* spotkał ją w Trouville, zakochał się, a uwiecznił ten romans w swej książce *„L'Education sentimentale"*, dając ukochanej rolę pani Arnoux. Tak więc ta idylla z nad brzegu morza przedostała się do literatury, jak zresztą i środowisko, w którem obracała się pani Schlesinger.

*

U wydawcy Grasset'a ukaże się niebawem szereg ciekawych nowości literackich. Do tych należeć będzie *„Comédie animale"* pióra p. A n d r é D e m a i s o n. Autor ten, wielki podróżnik, przez długie lata przebywał w kolonjach francuskich, nie myśląc bynajmniej o powieściopisarstwie. Osiedlił się on jednak pod Paryżem i zaczął pisać. Książka jego p. t. *„La Vie des Bêtes qu'on appelle sauvages"* otrzymała nawet nagrodę Akademji francuskiej. Pozatem jest on autorem *„Diato"* oraz *„Un voyage moderne"*, poświęconej głównie Madagaskarowi. Tło jego utworów jest zawsze kolonjalne, a bohaterami są czarni, albo zwierzęta. I tak w *„Comédie animale"* pierwszą rolę będą odgrywały małpy. Pozatem u Grasset'a w zbiorze *„Pour mon plaisir"* ukaże się książka p. B e r n a n o s a, autora *„L'Imposture"*, a poświęcona Drumondowi.

NA MARGINESIE

Z „Księgi przysłów polskich" kilka pożytecznych... przypomnień na dzień wyborów:

Kij ma dwa końce...
Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada...
Dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie...
Dłużej klasztora, niż przeora...
P a n B ó g n i e r y c h l i w y, a l e s p r a w i e d l i w y...

*

Z Mickiewicza:

„ADOLF: Ach u nas gorzej jeszcze, u nas krew się leje.
NIEMOJEWSKI: Krew?
ADOLF: Nie na polu bitwy, lecz pod ręką kata;
Nie od miecza, lecz t y l k o o d p a ł k i i b a t a
(*Rozmawiają ciszej*)".
(„Dziady" cz. III, sc. VII).

*

Z Mickiewicza:

„...Biegę widzieć — przyjaciel ostrzega;
„Nie idź dzisiaj, b o s p o t k a s z p r z e d w r o t a m i s z p i e g a!"
Idę nazajutrz — w p r o g u p o l i c y j s k i e d r a b y..."
(„Dziady" cz. III, sc. VII).

*

W dn. 4 listopada w Kielcach, w sali teatru Polskiego b. minister Targowski (B. B.) wygłosił odczyt o wyborach, w którym na morze zbałwanionych frazesów puścił taki aforyzm (dosłownie): „Nie mamy co ukrywać — Marszałek Piłsudski trzyma Polskę w swych rękach i z r o b i z n i ą, c o c h c e". Audytorjum, złożone z urzędników państwowych, — dodaje „Słowo" radomskie — przyjęło to wyznanie w grobowem milczeniu. Istotnie p. Targowski posiada łatwość obrazowania alegorycznego... Nie krępuje mu wyobraźni — serce polskie.

*

Odezwa wyborcza obozu Piłsudczyków, której poświęciliśmy w n-rze poprzednim artykuł wstępny, nie mogła zrobić dobrego wrażenia nawet wśród amatorów polityki tego obozu. Pokazało się bowiem, że przypadkowa zbieranina karjerowiczów i pochlebców nie ma nic do powiedzenia. Piłsudczycy z „Przełomu", pozujący na wybrednych smakoszów, oświadczają:

„Odezwa jest dostatecznie ogólnikowa i mglista, by zadowolić wszystkich razem, a nie zadowolić nikogo zosobna. Jest jak ta letnia woda, którą płuczemy sobie usta po pikantnych, korzeniami, pieprzem i... „solą życia" zaprawionych daniach, jakiemi były wywiady Komendanta".

Jakiemi „daniami" częstował swoich czytelników Komendant w wywiadach, to już weszło w przysłowie. Zdawało się, że nikt ich nie próbował, tymczasem wyczytujemy przed wyborami dokładną ich analizę smakową. Ale — czy wypada po takich delicjach płukać usta „letnią wodą"? Może to będzie źle widziane? W ogrodzie Saskim sprzedają chłopcy dyskretne wykałaczki: „Ostatnia nowość: w i e c z n e wykałaczki do zębów i paznokci — za jedne dziesięć groszy".

Bo i ręce w obozie rządzącym powinny być czyste...

*

„Sanacja", wypowiedziawszy wojnę parlamentaryzmowi, postanowiła go zohydzić za każdą cenę i wymyśliła istotnie sposób skuteczny: sama postanowiła wejść do Sejmu.

*

Pan marszałek Szymański wystąpił urzędownie z projektem zniesienia święta narodowego w dniu 3 maja. Pan dr. Szymański, jako sanator jest konsekwentny: przecież to pamiątka K o n s t y t u c j i! Precz z tą zmorą!

*

— Skądże się wziął w marszałku Szymańskim ten zapał do święta niepodległości, do daty wypędzenia Niemców z kraju?

— Bo to się wiąże z miłem wspomnieniem jego z Brazylji. Pamięta jak się ucieszył, wyczytawszy w dzienniku miejscowym o niepodległości Polski, że ta operacja obyła się bez jego pomocy.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.